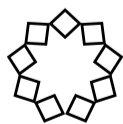


Opowiadanie

Nr 8, jesień 2018



WYDAWNICTWO
IGLOO


Inga Iwasiów, Marek K.E. Baczewski, Leszek Koczanowicz, Marta Podgórnik, Oleg Sencow, Anka Herbut, Tadeusz Pióro, Magdalena Tulli, Mariusz Grzebalski, Witold Mrozek, Justyna Bargielska, Andrzej Sosnowski, Agnieszka Wolny-Hamkało, Bartosz Sadulski, Magda Piekarska, Michał R. Wiśniewski, Andrzej Józwik, Adriana Prodeus

Władzo, dataś mi niewiele, o wiele mniej niż ci się zdaje.

SPIS TREŚCI

- 3** Imagine AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO
4 Stalowoszary INGA IWASIÓW
6 Na miłość boską, co to jest? MAREK K.E. BACZEWSKI
7 Władza, nadzieja, miłość LESZEK KOCZANOWICZ
9 *** MARTA PODGÓRNIK
10 Testament OLEG SENCOW
Przełożyła AGNIESZKA LUBOMIRA PIOTROWSKA
12 Władza ciężkiego kalibru ANKA HERBUT
13 Wyobraźnia romantyczna TADEUSZ PIÓRO
14 Rząd dusz MAGDALENA TULLI
15 Nabrałeś mnie MARIUSZ GRZEBALSKI
16 Ostatnia taca WITOLD MROZEK
19 Dwie litery JUSTYNA BARGIELSKA
20 Warunki wstępne (czas i pieniądz) ANDRZEJ SOSNOWSKI
21 piosenka emigranta AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO
22 Nieśmiertelność i władza, studium przypadku BARTOSZ SADULSKI
24 Szach-mat MAGDA PIEKARSKA
26 He-man spotyka pana władzę MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI
28 Pestki władzy ANDRZEJ JÓŻWIK
30 Alicja w Białym Domu ADRIANA PRODEUS
31 zaczniemy jeszcze raz BARTOSZ SADULSKI

ŹRÓDŁA ZDJĘĆ

- s. 1, 5 Zdjęcia z prywatnej kolekcji Patricji Bliuj-Stodulskiej
-  Zdjęcia w domenie publicznej ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego:
- 8 *Ślub Kazimierza Tartowskiego z Ireną Chrzanowską*, Wydawnictwo Prasowe Kraków-Warszawa
- 14 *Basen Ligi Morskiej i Kolonialnej*, Koncern Ilustrowany Kurier Codzienny – Archiwum Ilustracji
- 22–23 *Chiny. Wielki Mur*, Zespół: Wydawnictwo Prasowe Kraków-Warszawa
- 29 *Pochód 1 Maja w Warszawie*, Rutowska Grażyna, Archiwum Grażyny Rutowskiej

OPOWIADANIE

Nr 8, jesień 2018

ISSN 2299-4874

Redakcja: Agnieszka Wolny-Hamkało

Korekta: eKorekta24.pl i Dobromiła Jankowska

Projekt graficzny: Grzegorz Owczarek, pillcrow.com

Ilustracje: Patricja Bliuj-Stodulska, zibrou.blogspot.com

Copyright by the authors

Copyright for this edition by Towarzystwo Aktywnej Komunikacji 2018

Publikacja w ramach festiwalu *Opowiadania*, koordynacja festiwalu:

Dobromiła Jankowska, produkcja: Paweł Rogowski, dyrektor

artystyczny: Marcin Hamkało.

OPOWIADANIE

www.opowiadanie.org

e-mail: redakcja@opowiadanie.org

Adres redakcji:

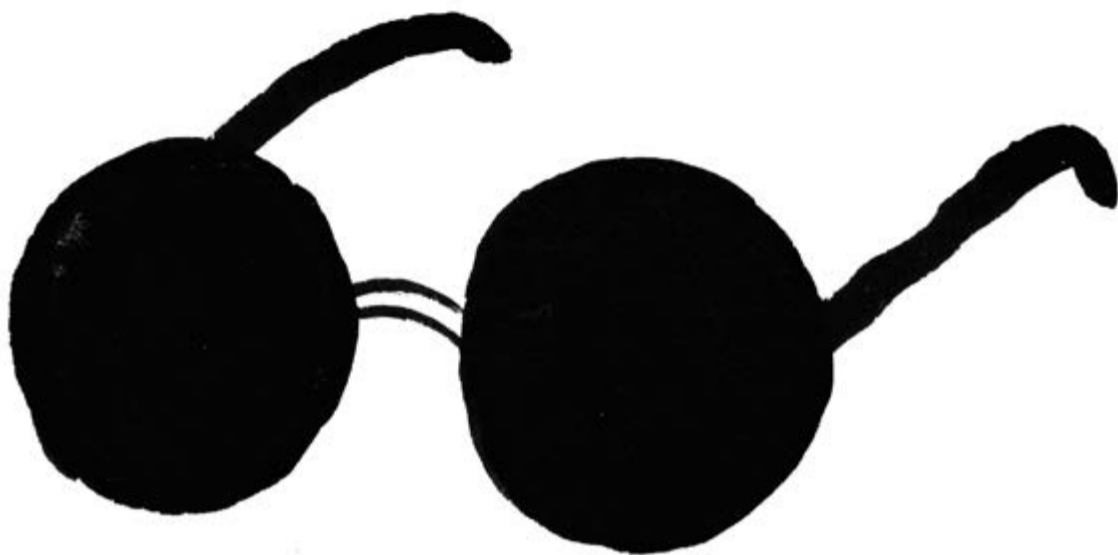
ul. Popowicka 34/11

54-237 Wrocław

tel. 783 783 100

Imagine

Agnieszka Wolny-Hamkato



Kiedy władza przejawia się w erotycznym odgrywaniu ról, staje się emocjonującą grą. Dominacja może iść w parze z przyjemną uległością. A role w każdej chwili można odwrócić. W wysublimowanych relacjach absolutnej podległości – sub, „pieski”, nie tylko zaspokajają seksualne zachcianki swoich panów/pań, ale też przepisują majątki na mistrzynię ceremonii i wykonują drobne rozkazy. Ich tak zwane życie codzienne także staje się wyrazem podległości, a erotyczna przyjemność rozciągnięta jest na całą egzystencję. Czy frajda z takim rodowodem może stać się metaforą przyjemności bycia zarządzanym w sferze publicznej? Czy władza jest zawsze opresją, czy też wiąże się z oddaniem sfery prywatnej, przyjęciem odpowiedzialności, zarządzaniem wiedzą (jak chce Foucault). Słowem, czy władza może być rodzajem postęgi, najmu, a władca kimś na wzór klasowego skarbnika, którego wybieramy po prostu dlatego, że nie chce nam się liczyć, bo nowy sezon to nowe wspaniałe seriale, a jesień oferuje nam coś więcej? Inaczej nam to przepowiada język: władza paradygmatu realistycznego nad surrealistycznym/gotyckim oznacza tyle, że ten drugi jest skompromitowany, uchodzi za mniej dojrzały, infantylny, drugorzędny. A powieści realistyczne mają fory, mimo że ich „realizm” jest konwencją jak „kino stylu zerowego”, gdzie język filmowy ma zniknąć pod naporem treści i liczy się tylko opowieść. Wyrazisty styl jest niepotrzebną barierą, która przeszkadza dobrze sprzedać towar.

I niby nikt nie chce być żadnym z tych bohaterów kreskówek, którzy uparcie pragną przejąć władzę nad światem – nie bardzo wiadomo po co. Jakby to była najwyższa stawka. Jakby do ugrania nie było nic więcej. Ale kto przejmuje opiekę nad światem, kiedy czarny charakter zostaje pokonany? Nikt? I jest jak w piosence Lennona „Imagine”? *There's no countries and no religion too?* Czy może panuje demokracja, choć jej ojcowie założyciele drżą, zerkając nerwowo w głąb historii, martwiąc się, że republika upadnie. W książce „O tyranii” Timothy Snyder przywołuje ich obraz: w kółko rozważają wyrażanie się starożytnych demokracji i republik w oligarchię, imperia. Czy warto tu rozważać każdy smętny cytacik, podprowadzony już na pewno wcześniej przez Milana Kunderę, który dobrze rozumiał, że to właśnie seks i władza nas najpilniej obchodzą? Np. że władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje

absolutnie? A może lepiej powtarzać, że już nigdy, nigdy nie ulegniemy faszystom, bo jak pisał Leszek Kołakowski „być oszukanym w polityce nie jest usprawiedliwieniem”? No i co nam po teorii, skoro w rosyjskim więzieniu reżyser i pisarz Oleg Sencow zaczyna kolejny dzień głódówki pod hasłem „Let my people go”, bo lista politycznych więźniów jest dynamiczna, ale idzie w dziesiątki. Nie wiem, co zrobić z obowiązkiem obserwowania konfliktów i wojen. Ale mogę głosować. Czasem mogę coś wybrać. Może nawet kogoś przekonać. Rozumiem, że władza to też reprodukcja systemów nauczania, narzucanie własnych idiomów – także w obszarze sztuki czy literatury, forsowanie wpływowych idei, finansowanie, upublicznianie treści, seks, dostęp do zasobów, hierarchie. I że – jak w tekście Andrzeja Sosnowskiego – władzę sprawują nad nami także forsa i czas. Ale może literatura – poza kontekstem nagród (władza!), kontraktów i mód – czasem, tylko czasem, mogłaby być czymś całkiem fajnym, może mniej wpływowym, za to bardziej naszym. Jakimś małym „imagine”, chociaż nikt z nas już na serio nie myśli, że nie jest polityczna, a o jej rzekomej niewinności milczą media.

Stalozoszarzy

Inga Iwasiów

Kiedy byłam małą dziewczynką, nie czytałam Michela Foucaulta. Może to wydawać się dziwne, ale tak właśnie było. Dorastałam w świecie baśni, rymowanek i nieodpowiednich-dla-dzieci powieści, wypożyczanych z biblioteki przez starszą koleżankę, nieświadoma istnienia zależności między drutem kolczastym w żołądku a budowanym wokół mnie systemem nawijającym go na bęben. Bałam się więc wychowawczyń w przedszkolu, nauczycieli przedmiotów pamięciowych w szkole, osób operujących narzędziami do wkłuc w przychodniach, komend do rozbierania wszędzie tam, gdzie był jakiś pretekst, śpiewania solo, skoków przez kozła oraz do basenu, sprzedawców i milicjantów łąpiących na przejściu dla pieszych, a nade wszystko atomowego grzyba. Bałam się także oka sąsiadów, łąpiącego przez lufciki i wizjery. Ponieważ dużo później przez jakiś czas czytałam niemal wyłącznie to, co napisano po Michelu Foucaulcie, cytując tegoż i parafrazując, mogłabym listę lęków, obaw i ugięć wpasować w tabelkę, kompletując w ten sposób imiona i przebrania tajemniczej siły, obecnej w mojej codzienności odkąd pamiętam, a nawet wcześniej. Szukając jednak momentu przejścia od przeczuć do wiedzy, nie potrafię wyminąć odcisniętej w głowie matrycy, monumentalnego obrazu, który włada moją wyobraźnią, moim ciałem, być może po prostu mną, mną całą, moimi wyborami i zaniechaniami. Moim, patos bywa jedynym językiem: życiem.

Dzieciństwo wypełniały obrazy wojny. Samotne teleranki i rodzinne telewizorki prznosiły na rozryte przez wozy opancerzone polskie drogi. Rodzice zastaniali pociechom oczy na scenach seksu i egzekucji. Widziałam między ich pachnącymi jedzeniem i tytoniem palcami podbarwione czerwienią worki na głowach skazańców. Poświata krwi wypytywała wypchnięta z mroku powiekami jak w makabrycznym teście Rorschacha. Widocznie nic innego we mnie nie było, sama lepka substancja. Starłam się. Zatykałam dziurki kciukiem. Śpiewałam w szkolnym chórze patriotyczne wojskowe piosenki. Bandażowałam kończyny kolegów na lekcjach PO. Majstrowałam maski pgaz. na WT. Usprawniałam się na WF. Oklaskiwałam w operetce adaptację tego filmu, który znają wszyscy, więc nie trzeba wymieniać tytułu, zresztą bez różnicy, każdy pokazywał zbiorową, przedwczesną, gwałtowną śmierć. Wdrapywałam się na lufę czołgu z okazji święta, jakby lufy służyły zabawie, trochę też przyjemności, ciepłe na zimnym, nie zabijaniu. Być może, chcą dziś zwolennicy teorii genetycznego dziedziczenia traumy, wychowywana przez uciekinierów, sieroty i ofiary, śniłam ich koszmarne wspomnienia, bo skądś musiało dochodzić dudnienie, jakie wydaje artyleria po zmroku, przed czymś uciekałam, dźwigając w tobołku wrzeszczące niemowlę, czemuś zapobiegałam, chowając się w szafach, pod stołami, za kotarami, pod kołdrą, w fantazje.

Tło jest ważne. W każdym filmie, spektaklu, opowieści pojawia się stalowa siła, umundurowana masa, ognista odpowiedź na zwyczajne życie. Jeśli baśnie braci Grimm są zbyt okrutne dla dzieci, co można powiedzieć o edukacji patriotycznej w powojennych dekadach? Tak czy owak, mocno kształtowała wyobrażenie o nieuchronności. Którędy bym nie szła, mogli mnie dopaść, powalić, rozstrzelać, powiesić, zgwałcić,

zepchnąć do dołu. Rozedrzeć moją nową spódniczkę odebraną z zakładu rzemieślniczego prasującego trwale i uwalać wystane w kolejce tenisówki. Mam obsesję czystości, zużywam kilogramy pasty do zębów do butów. Wynajduję nowe zastosowania i lubię wszelkie erzace. Żelazne porcje. Duplikaty dokumentów.

Szukając piękna, ulegałam pogodnej atmosferze pierwszomajowych manifestacji. Małe chorągiewki, machające dłonie, lepkie od waty cukrowej, skoczne piosenki, białe bluzki z żabotami lub kołnierzykami. Tylko pogoda nie zawsze sprzyjała, podwiewając dziewczynkom wyjątkowo ładne, bo przecież pierwszokomunijne sukienki z zeszłego roku. Moja nieprawomyślnie krótka, uszyta z krempliny, nie podpadała, koleżanki zamiatały niestosownie jezdnię, którą kroczyliśmy w równym, ćwiczoną całą marzec szeregu. Klasa A, najlepsza. Mylą mi się okazje, może sypałyśmy kwiatki nie przed trybuną, lecz za figurą? Kompilacja klas z dzielnicy. Bo czy pozwoliliby nam wystąpić w czymś innym niż granatowe plisowanki, tak ładnie podkreślające kolanka, a niechący-chący eksponujące i bawełniane majteczki, dziady się bezkarnie obliżywały.

Jako dziecko słyszałam szepty dorosłych, napomknienia i upomnienia. Jacyś oni – później poznałam pojęcie alienacji władzy – zaglądali do naszej spiżarni, wygarniając z niej smaczne kąski. Na zdrowie, byle nie ruszali kiszonych ogórków i renklodowych dżemów. Szczęśliwie mięsożerni, najpierw zabierali kietbasę i pieczone schaby, wędzone boczki, ociekające tłuszczem żeberka. Trzeba je było przed nimi chować, najlepiej w lniane szmatki, noszone pod płaszczem przez dostawcę dzwoniącego dwa razy. Bylibyż psami, wilkami, niekarmionymi duszami, chłopami na przednówku? Dobrymi wróżami, wybawiającymi ode złego kotletów panierowanych, smażonych na smalcu, zagryzanych kapustą. Poza tym mogli wszystko zabrać lub dać, gubiłam się w rachubach i domysłach. Gdybym miała wybór, oddałabym im plastikowego kosmonautę z napisem СССР na hełmie, ratując lalkę w stroju ogólnoludowym. Kupon etaminy ratujący bluzkę bouclé. Tego się należało uczyć, podstuchając, lawirowania, wyprowadzania ich w pole, kimkolwiek by się okazali – wampirami, złymi, najeźdźcami, przejściowymi. Kimś innym od adresatów recytowań, celebracji i czynów. Organizatorami wykopków i wczasów pracowniczych. Wujkami. Gospodarzami. Tym, który



gorszy, a teraz mamy lepszego, lecz zawsze to mężczyzna i cenzor, czasem przebrany za panią od czegoś, w dodatku rozjuszony byk, macant-pacant.

Nie byłam dorosła, gdy zobaczyłam ich pierwszy raz. Przyszli na moją ulicę, wyłonili się z mgły i ciszy. Zupełnie jak w filmach: kamera błądzi po fasadach kamienic, okrywie lasu, horyzoncie, łanach zbóż, brzozowych zagajnikach, ptak śpiewa i nagle bum! Znałam obraz i dźwięk, znałam scenariusz. Musieli zająć pierwszy plan, jaskrawy, choćby dzień był nie wiem jak szary, bo główny plan zgodnie ze sztuką został doświetlony, żeby widzowie docenili grozę chwili. Półcienie zostały po bokach. Środkiem mojej ulicy szli oni, wygarniając armatkami wodnymi każdego, kto chciałby stać prosto.

Więc zanim dorostałam i przyjąłm wyjaśnienia, a potem się im sprzeciwiłam, poznałam naturę władzy. Byłam dobrze przygotowana, obrazki wpadły na swoje miejsca. Stalowoszary pasował im świetnie, leżał na chwili, choć tyle o nim mówiono jako o barwie wroga.

Niestety, mojemu dzieciństwu brakło niewinności. Śpiewałam w tych chórach, oklaskiwałam żołnierzy, recytowałam z podręczników. Cieszyłam się, że wyjedli karkówkę. Nie mówiąc o ucieczce z katechety. Byłam dziewczynką swojego czasu i pewnie dlatego boję się drogówki, wywiadówki i listu poleconego. Oczywiście, nie dają po sobie poznać, zgodnie z wyuczonymi zasadami oporu. Mało tego, ryzykuję, gdy nadarza się okazja, a nawet bez żadnej okazji. Przekraczam limity prędkości, krytykuję edukację, piszę odezwy. Jestem staroświecka, chociaż chciałam być ponowoczesna. Nie wyszło. Stalowoszary ożywił się, ma koszulkę z napisem „zawsze byłem”, więc wybiegam mu na spotkanie z pękiem białych róż.

Na mitość boską, co to jest?

Marek K.E. Baczewski

To jest piękny i mądry wiersz znanego poety. Przyciąga uwagę czytelnika głęboką refleksją nad egzystencjalnymi niepokojami współczesności. Nie epatuje mentorskim tonem i uporczywą dydaktyką. Mimo zastosowania retoryki dalekiej od koturnowości, skrywa załączki i zawiązki problemów fundamentalnych. W szczególny sposób zdumiewa i zachwyca, w szczególny sposób porusza i zapada w pamięć. Autor wyczuwa subtelne drgawki rzeczywistości, acz z równym powodzeniem operuje w materii niepochwytnej. Niewielu poetów z taką mocą w swej twórczości ogarnia słowami niepojętą tajemnicę realnego. To wiersz płynący z głębi doświadczenia ludzkiego losu, w szczególny sposób wypływa z autentycznego doświadczenia, w szczególny sposób dotyka gorzkiej prawdy życia. Jest metafizyczną odpowiedzią na wyzwanie płynące ze strony, z pustej strony.

Władza, nadzieja, miłość

Leszek Koczanowicz

Wielki filozof G.W.F. Hegel w swych „Zasadach filozofii prawa” pochylił się nad rolą miłości w systemie prawnym i politycznym. Zdefiniował najpierw w swym specyficznym języku naturę miłości, pisząc: „Miłość oznacza w ogóle to, że mam świadomość swej jedni z kimś innym, tak że nie istnieję w sposób izolowany dla siebie, lecz osiągam swoją samowiedzę tylko przez rezygnację ze swojego bytu dla siebie i przez uświadomienie sobie siebie jako własnej jedności z kimś drugim i jedności tego drugiego ze mną”.

Co więcej, filozof stwierdza, że miłość jest nierozwiązywalną sprzecznością między dwoma kluczowymi momentami: „Pierwszym momentem w miłości jest to, że nie chcę być samoistną osobą dla siebie i że gdybym taką samoistną osobą dla siebie był, czułbym się źle i istotą niepełną. Drugim momentem jest to, że w miłości odnajduję siebie w innej osobie, że w niej dochodzę do znaczenia, ona zaś osiąga to samo we mnie. Miłość jest wobec tego najbardziej jaskrawą sprzecznością, której rozsądek rozwiązać nie potrafi, gdyż nie ma nic bardziej trudnego niż ta punktowość samowiedzy, która zostaje zanegowana i którą mimo to mam posiadać jako afirmatywną. Miłość jest wytworzeniem tej sprzeczności i zarazem jej rozwiązaniem: jako jej rozwiązanie jest ona etyczną jednością”.

Miłość jest sprzecznością, z którą tylko z trudem radzi sobie rozum filozoficzny, ale jednak jasne jest, że nie może być ona podstawą państwa – jest zbyt ulotna, migotliwa, zbyt mało poważna. „W państwie nie ma już miłości; w państwie jest się świadomym jedności z kimś innym jako prawa, tu musi treść być treścią rozumną i ja muszę ją znać” – pisze zdecydowanie Hegel.

Wydaje się, co więcej, że w tym skomplikowanym równaniu społecznym to kobiety są elementem niestabilnym. O ile mężczyźni porównuje filozof do zwierząt, to kobiety do roślin, ponieważ: „kobieta to... spokojne rozwijanie się, którego zasadą jest pewna bardziej nieokreślona jednia uczucia”. To rozwijanie się ma jednak określony kierunek: „Przeznaczeniem dziewczyny jest, istotnie rzecz biorąc, tylko małżeństwo”. Jeżeli to przeznaczenie się nie spełni, a „kobiety stoją na czele państwa”, to, jak ostrzega Hegel, „państwo znajduje się w niebezpieczeństwie. Działają one bowiem nie według wymagań ogólności, lecz podług przypadkowej skłonności i przypadkowego mniemania”.

Nie dzielimy, a przynajmniej taką mam nadzieję, uprzedzeń Hegla co do cech kobiet, ale wielu wciąż by się z nim zgodziło, że polityka i władza, jaka jest z nią nieodłącznie związana, należy do zupełnie innego porządku niż miłość. Władza jest solidna, autorytarna, racjonalna, nawet gdy jest okrutna. Władza oznacza ogólność, siłę historii, nawet jej kaprysy są monumentalne. Miłość jest indywidualna, nietrwała, subiektywna, nawet gdy bywa heroiczna i monumentalna. Władza to przymus, miłość to wolność, nawet gdy jest szaleństwem. Różnica ta jest szczególnie dramatyczna, gdy myślimy o współczesnej, demokratycznej polityce. Jej ideał jest często przedstawiany jako coś w rodzaju klubu dżentelmenów, którzy siedząc w wygodnych fotelach, dyskutują w uprzejmy sposób najtrudniejsze kwestie społeczne. Pojawienie się

emocji w polityce rozpatrywane jest jako wynaturzenie niebezpieczne dla społeczeństwa, bo wprowadza emocje zamiast walki na idee.

Najbardziej powierzchowna obserwacja życia politycznego przeczy jednak takiemu stawianiu sprawy, dlatego też tajemnicą intelektualistów jest, że obraz czystej, wypranej z emocji polityki potrafił utrzymać się tak długo. Ludzie angażują się w politykę nie po to, by poddać próbie siłę swych idei, ale dlatego, że czegoś pragną, że mają nadzieję na lepsze życie, że wierzą przywódcom. Krótko mówiąc, angażują się w politykę z miłości. Inaczej nie byłoby w stanie ponieść wielkich ofiar, jakie często są udziałem tych, którzy otwierają nowe drogi społeczeństwu. Cyprian Norwid ujął to chyba najlepiej w wierszu „John Brown”, gdzie walka o wolność przypomina „święte szaleństwo” miłości:

„Tak, wy! – szlachetni, różnego narodu,
Wolności świtów zamknięci orłowie,
Przed czasem zgaśli konspiratorowie,
Młodzieńcy w grobach lub starcy za młodu –
– Zdawałoby się, że czasów zakony
Własnymi łamiąc muszkuły i nerwy,
Co potem w dziejach, to czynicie pierwój
Na samych sobie – jak święty-szalony –
Wracając co wiek z oczyma błędnymi
Do odpoznanania się – w klatce, na ziemi!”

John Brown należał do nielicznej grupy zwolenników natychmiastowego zniesienia niewolnictwa, które było nie do pogodzenia z jego umiłowaniem wolności. Większość rozsądnych ludzi w tym czasie albo uzasadniała niewolnictwo na gruncie „przyrodzonej” nierówności ras, albo uważała, że zmiana następować musi stopniowo, ewolucyjnie. Nawet Abraham Lincoln na początku wojny secesyjnej przewidywał, że pełne zniesienie niewolnictwa w USA nie dokona się wcześniej niż za 100 lat. Jak wiadomo, wypadki potoczyły się inaczej i historia przyznała rację radykałom, którzy z czystego pragnienia wolności i równości chcieli zmiany świata.

Wiele takich historii, mniej lub bardziej dramatycznych, można też opowiadać, przywołując ostatnie stulecie. Uczucia, pasje są paliwem historii, tak samo, jak naszego prywatnego życia. Tak samo walczymy o szczęście i tak samo przeżywamy porażkę albo znużenie czy rozczarowanie osiągniętym sukcesem, kiedy uniesienie zamienia się w rutynę codzienności. Obecny kryzys demokracji można interpretować jako konsekwencję jej niebywałego sukcesu w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku. Walka o demokrację była walką o ideał, ludzie ryzykowali wiele, czasem wszystko, by go osiągnąć. Sukces szybko jednak zbanalizował marzenie! W miejsce oczekiwanego zachwyty pojawiły się trywialne sprawy powszednie, ekonomia zastąpiła ideały, drobne kłótnie i sprzeczki sprawiły, że zapomniano o doniosłych oczekiwaniach. Pojawiło się wielkie rozczarowanie i myśl, że gdzieś już na początku tkwił błąd! Wielkim zadaniem dla obrońców demokracji jest ponowne



aktywowanie uczuć, powrót do tych ideałów i tego zaangażowania, które było na początku. Bez wyobraźni demokracja nie przetrwa, gdyż nie będzie powodów, dla których ludzie mieliby stanąć w jej obronie.

W tym momencie trzeba przywołać kolejny wymiar demokracji, ale też wszelkiej polityki – nadzieję. Działamy po to, żeby coś zmienić na lepsze, aby nasze życie stało się inne, przynajmniej bardziej znośne. Francuski filozof Jacques Derrida zaproponował koncepcję „demokracji, która nadchodzi”. Demokracja jest zawsze obietnicą, jej podstawą jest nadzieja na spełnienie tej obietnicy. Bez wiary w skuteczność działania uprawianie polityki nie ma sensu, bo ludzie będą od niej stronić.

Bez miłości i bez nadziei nie ma więc polityki. Można powiedzieć nawet, korygując Hegla, że są one esencją każdej władzy. Jednak niemiecki filozof na pewno miał rację w tym, że uczucia mogą być kapryśne i zwodnicze. Miłość i związana z nią nadzieja może nie tylko uwznioślać codzienne życie, ale też równie dobrze prowadzić nas na manowce. Wiemy niestety, aż za dobrze, że najbardziej opresyjna władza znajdowała swoich zwolenników gotowych z miłości wszystko zrobić dla tyra-
nana, który nimi pogardzał.

Wiele jest wyjaśnień tego niepokojącego zjawiska, ale chyba najbardziej przekonujące podała amerykańska feministka Judith Butler. Nawiązała ona do znanego faktu, że władza, używając ideologicznego aparatu perswazji, kreuje podmioty poprzez odpowiednie ich nazywanie. Szczególnie widoczne jest to w państwach totalitarnych, ale systemy demokratyczne bywają równie perfidne. Jeżeli władza nazwie jakąś grupę

ludzi „wrogami państwa” albo „wrogami narodu”, to oczywiście członkowie tej grupy będą oburzeni. Pomimo tego, że nie będą się zgadzać na takie określenie, będą musieli w jakiś sposób na nie reagować, odpowiadać na nie, przez co *implicite* je akceptować. „Wrogowie państwa”, „wrogowie narodu” staną się częścią ich tożsamości. Nie możemy żyć, nie akceptując swych tożsamości, mówi Butler, dlatego w konsekwencji zaczynamy akceptować też te narzucone nam określenia. Co więcej, tożsamość to nie tylko chłodna akceptacja, to też miłość naszej własnej egzystencji. Cały ten psychospołeczny ciąg zdarzeń prowadzi więc do miłostego zaangażowania wobec władzy, nawet tej najbardziej znienawidzonej!

Czy jest jakieś wyjście z tego błędnego koła uzależnień? Myślę, że nie ma na to ostatecznych recept. Trzeba być niezwykle ostrożnym, bo jak zanotował Max Frisch w swym dzienniku z 1947 roku: „Wiedza o tym, że istnieją różne stopnie zniewolenia, lecz nie istnieje wolność, choć obwołuje ją każdy, kto chce nas uciskać – wiedza o tym jako warunek nieodzowny, żeby samemu nie robić z siebie błazna i żeby któregoś dnia, kiedy ktoś nas zawiedzie i oszuka, z równie dziecinną nadzieją nie stracić głowy dla jego przeciwnika”.



Marta Podgórnik

Kochali Cię profesorowie i gwiazdorzy rocka,
Lecz Ty, ciemnooka, nie umiałaś kochać.
Aż do dnia, kiedy przepętniły Cię smutek i wdzięczność.
Wdzięczność, że czujesz smutek. Smutek, że tak późno.

Kochali Cię książęta w drogich samochodach,
I tacy, którym hojnie żyrowałaś kredyt.
Kochał Cię pewien lekarz, kardiolog, przystojniak.
Tak mocno, że w ogóle nie chciał Cię wyleczyć.

Tyle radości na nic, tyle kartek w piecu.
Kochali taryfiarze, barmani i księża.
Kochali Cię źli chłopcy i mężczyźni z klasą,

Lecz Ty, złamanoserca, nie umiałaś kochać.
Bo kochałaś jedynie nieswojego męża.
Bo wybierałaś rzeki, mając wszystkie morza.

Testament

Oleg Sencow

Przełożyła

Agnieszka Lubomira Piotrowska

Wszyscy umrzemy. Ja też nie jestem wyjątkiem. Wszyscy chcieliby żyć dłużej i w tym wypadku również, na szczęście, nie jestem wyjątkiem. Nie, nie chciałbym przedłużać swojego życia, dożyć stu lat i w ostatnim ćwierćwieczu wieść niedołążny żywot na różnych stymulatorach i preparatach chemicznych. Chciałbym dłużej żyć młodo, pełnią życia, korzystać z niego i dawać je innym, chodzić, a najlepiej biegać, spać albo nie spać. Decydować o tym powinienem sam, a nie mój organizm do kupy z moim lekarzem.

Takie życie chciałbym wieść jak najdłużej. Ale to niemożliwe. Wszyscy umrzemy. Wszyscy po śmierci zamienimy się w kawałek śmierdzącego mięsa zakopanego na głębokości kilku stóp. Będą nas jeść robaki, a przyzwoiaci krewni będą przychodzić na nasze groby, robić smutne miny, stać naprzeciwko krzyża czy pomnika i patrzeć na nasze portrety. Zupełnie przy tym zapomną, że krzyż umieszcza się w nogach zmarłego, i teraz cała ferajna żałobników zgodnie stoi na głowie nieboszczyka, z rozrzewnieniem wpatrując się w jego portret na granicie. Następnie wyjmują jedzenie i napoje alkoholowe, częstują wszystkich (w tym zmarłego, z którego czas już niewiele pozostawił), ale najpierw jeszcze plewi chwasty. Patos i przesady, niepotrzebne cerkiewno-pogańskie obrzędy i scholastyka.

Nie chcę, żeby mi deptali po głowie, nawet gdy mnie już nie będzie. Nie chcę w pamięci potomków zostać portretem na kawałku granitu i żeby na moim grobie urządzali stypy. W ogóle nie chcę zwracać na siebie uwagi, ani teraz, ani tym bardziej po śmierci. Nie chcę mieć grobu.

W dzieciństwie, w wieku czterech lat, byłem na pogrzebie dziadka. Zwykle dzieci nie pamiętają siebie w tak młodym wieku i bardzo rzadko zachowują nawet najbardziej wyraziste wspomnienia. A ja zapamiętałem ten pogrzeb. Pamiętam bardzo mało. Ale pamiętam najważniejsze – jak stoję z innymi krewnymi na kupie ziemi na skraju grobu, a ktoś, kogo nie widać, przemawia. A potem, po pogrzebie, nastąpiło odkrycie, kiedy usłyszałem, że dziadka nie będą odkopywać z powrotem, że umarł i to już na zawsze. Całe dzieciństwo prześladował mnie koszmar: wieczorem i w nocy widziałem czarny grób w przekroju i spuszczone do niego ciało w białym całunie. To było ciało dziadka, ale wyobrażałem sobie i wiedziałem, że prędzej czy później to będę ja. Nigdy nie przyprowadzicie swoich dzieci na pogrzeb.

W dzieciństwie bałem się, że umrę. Teraz się nie boję – teraz dokładnie wiem, że umrę. W dzieciństwie bałem się czarnego grobu, teraz po prostu nie chcę w nim leżeć.

Wszyscy umrzemy. Ale każdy umrze inaczej. Ktoś cicho i spokojnie, jak zamyka się drzwi do pokoju, w którym zasnęły dzieci. Ktoś w krzykach i mękach, jak przy narodzinach. Nie wiem, jak ja umrę, ale na pewno nie chciałbym umrzeć jako starzec w łóżku, w otoczeniu ziewającej rodziny.

Zapytano kiedyś pewnego człowieka, jak chciałby umrzeć, a on odpowiedział: „Z okrzykiem «Hura!», z karabinem na plecach, z ustami pełnymi krwi”. Ja też bym tak chciał, tak pięknie, tak po męsku. Ale nic

z tego. Bohaterowie odchodzą pięknie tylko w filmach i książkach. W życiu sikają pod siebie krwią, krzyczą z bólu i wspominają matkę.

Nie chcę mieć grobu. Chcę zostać spalony. Nie, nie na stosie inkwizycji, a w zwykłym krematorium. Spalcie mnie, a prochy rozrzućcie nad morzem. Najlepiej nad Czarnym, najlepiej latem, i żeby świeciło słońce i wiał silny wiatr. Ale jeśli będzie jesień i deszcz, to też nieźle. Przecież nikt nie będzie czekać do lata, jeśli wykituję w listopadzie? Bo przyjdą goście i zapytają: „Co macie w tym wazoniku?”. „A, to dziadek w nim leży – czeka na lato!” Wazonik też zresztą poproszę do morza – nie trzeba robić z niego fetysza. Bo będzie inny obraz: ten sam pokój, rok później, inni goście: „A co to macie za wazonik?”. „Dziadek w nim leżał” – uroczyście i na stojąco odpowiedzą krewni, pochylając głowy. No to w takim razie rozwieście jeszcze po domu moje skarpetki i majtki, te moje ulubione i te, które włożyłem ostatni raz.

Chcę, aby mnie spalono. Na popiół. I popiół rozsypano. Nad morzem. Najlepiej latem, jeśli, oczywiście, umrę latem. Tylko rozsypujcie od nawietrznej, żeby popiół porwało morze, a nie żeby rozniósł się po pokładzie i jakiś szczególnie pyskawy i bezczelny wnuczek, wykapany dziadek, skomentował wymiatanie moich szczątków: „Z tym starym wiecznie było urwanie głowy!”.

I niech wieje wiatr i poniesie proch w morze. Ale jeśli będzie padać, to też nic strasznego – wszyscy powiedzą: „Tak, dobrego człowieka chowamy, skoro pada deszcz”. Nie chowamy, tylko siejemy, znaczący rozsypujemy, kochani!

A jeśli będzie padać i popiół przyklei się do urny, to też nic strasznego. Co prawda znowu ten sam bezczelny wnuczek zajrzy do urny, zobaczy tam trochę przylepionego prochu i powie: „Tak, dziadek nadal trzyma się krawędzi życia!”. Ale to nic złego – ją też wrzucicie do morza. Aby nie zostało. Nic nie zostało. Tylko pamięć. I dzieci. I przyjaciele. I wy. I wtedy zawsze będę z wami.





Władza ciężkiego kalibru

Anka Herbut



W latach 90. w Polsce zaczęły rozmnażać się insygnia władzy. Te kanoniczne i związane z władzą instytucjonalną symbole typu korona lub pagony we wzór moro odeszły do lamusa, a nastąpił prawdziwy wysyp nowych oznak dominacji oraz prosperity. Otwarte zostały granice, wyobrażenia, nowe kanały telewizyjne ujawniające, jak się żyje na Zachodzie, oraz sklepy. Te ostatnie stały się miejscami rozpusty, a grasowali po nich ci, których było na to stać. O bogactwie świadczyło zażywanie przyjemności, fetysze i ozdoby, które do zwykłego życia teoretycznie nikomu nie były potrzebne. Były nadstatkiem, na jaki niewielu mogło sobie pozwolić. Praktykowanie toksycznej triady pt. biznes, polityka, przestępczość znacznie ułatwiało sprawę. Na początku na wiele mogły sobie pozwolić głównie męskoosobowe grupy z Pruszkowa, Wołomina i Szczecina, a także wybrani satelici z niektórych województw w całej Polsce, zrzeszeni w szeregach wyrastających jak grzyby po deszczu gangów. W mózgu myślami ostrymi jak żyłki Tiger Safety wygrawerowane mieli słowo BOGACTWO. Bo bogactwo świadczyło o władzy. Ten, kto miał kilka samochodów osobowych i szofera, mógł wiele. Byli mafiosi w wywiadach podają, że istniała zależność między stanem posiadania a posłuchem, szacunkiem i towarzystwem pięknych kobiet. Kto pływał w basenie w warszawskiej Victorii, kto miał willę z jacuzzi w Żąbkach pod Warszawą, dachę w Jelitkowie, delikatesy z towarami luksusowymi albo dajmy na to agencję towarzyską Rasputin, mógł jeszcze więcej. W zasadzie mógł wszystko. O statusie i mocy sprawczej w połowie lat 90. świadczyły rozmaite artefakty z dziedziny motoryzacji, mody, nieruchomości i egzotyki. Drinki wysysane z wydrążonych ananasów, z których śmiało wystawały plastikowe mieszadełka w kształcie gołej baby, dwa auta z napędem wielu koni mechanicznych stojące z dumą na jednym podjeździe, boazeria, zegarek elektroniczny, buty w szpic, precjoza z brylancikami, skajowa sofa z kompletem puf, kryształowe żyrandole, domowy barek częściowo przynajmniej wykonany z luster, aby optycznie powiększać liczbę trunków, 48-calowy telewizor, 24-karatowe złoto, 9-milimetrowy kaliber. Nabłyszczona porządnie meblościanka. Jak ślub kościelny, to tylko w Nazarecie, jak cywilny – tylko w Las Vegas. Jak wakacje – tylko na Riwierze Tureckiej. Anturium. Akwarium. Szampan & amfetamina. Perski dywan i waza z dynastii Ming. I broń ciężkiego kalibru. Zanim policja założyła podsłuchy gangsterom, oni dawno już podsłuchiwali policję. Kiedy polskie służby mundurowe strzelały z wysłużonych spluw w rodzaju P-64, polska mafia dysponowała już glocami, skorpionami, micro uzi i kałasami, a także radzieckimi granatnikami RPG.

O gangu pruszkowskim zrobiło się głośno w 1990 roku po strzelaninie w motelu George przy gierkówce koło Nadarzyna pod Warszawą, gdzie gangsterzy wpadli w zasadzkę policji. Wobec rzekomo nieprawidłowo zebranego materiału dowodowego bardzo szybko zostali uniewinnieni. Pruszków był największą nielegalną organizacją zbrojną w postkomunistycznej Polsce. Przemycali alkohol, papierosy, „opodatkowywali” automaty do gier, napadali na tiry przewożące kradzione wcześniej towary, nadzorowali szlaki przemytu narkotyków, produkowali

amfetaminę. Inwestowali w zakupy: klubów, dyskotek, restauracji i gruntów. Ściągali haracze, porywali dla okupu, zabijali za pieniądze. Brali procenty od kantorów, lombardów, komisów, firm leasingowych, klubów sportowych, parabanków, firm deweloperskich, agencji handlu nieruchomościami. Można powiedzieć, ludzie renesansu. Prowadzili otwartą wojnę z Wołominem. Ale oprócz Pruszkowa i Wołomina, działały jeszcze grupy ożarowska i mokotowska, bandy z Konstancina czy z Piaseczna. Istnieniu polskiej mafii co rusz zaprzeczają kolejni byli członkowie, sprowadzając ją do poziomu zwykłego gangu albo zwykłej nielegalnej grupy zbrojnej. Tymczasem mafia charakteryzuje się tym, że jako grupa przestępcza ma powiązania z władzą: z polityką, sądami, policją. Władza totalitarna właśnie wtedy w Polsce stopniała, a pierwszy demokratyczny rząd nie wypracował jeszcze nowych strategii i narzędzi sprawowania władzy. Nie wypracował też czujności ani etyki. Dzisiaj mówi się o tym, że nie można było sobie wtedy jeszcze pozwolić na skojarzenia pewnych realizowanych już w demokratycznym świecie strategii (podstuchy czy świadkowie incognito) z systemem totalitarnym. Co jakiś czas pojawiały się więc nowe prawa podatkowe typu „luka w prawie”, których żywot trwał zaledwie kilka dni, ale zanim przestały obowiązywać, granicę z Niemcami przypadkowo przekraczało sporo teoretycznie nielegalnych, a praktycznie jednak bardzo legalnych ciężarówek z towarami bez akcyzy. I na tym zbijali pieniądze i wypracowywali pozycję. Choć legalne narracje były nieco inne.

Jeden z liderów gangu pruszkowskiego, Pershing, twierdził, że oszczędności przywiózł z saksów w RFN, oficjalnie pracował natomiast w Ożarowskiej Fabryce Kabli. I właśnie w Ożarowie wybudował willę z basenem i kortami tenisowymi, grubymi dywanami i poztacanymi klamkami. Jednocześnie mawiał, że żyje z oszczędności i zawsze ma jakieś pół miliarda złotych na czarną godzinę. Jego pieniądze pochodziły z hazardu – nie tylko z wygranych. Był wyrafinowanym hazardzistą fachowcem. Wołomiński boss o pseudonimie Dziad posiadał pod Warszawą willę, której ściany i sufity ozdobione były kilometrami sztukaterii, oraz namiętnie oddawał się hodowli gołębi, a po bazarze na Stadionie Dziesięciolecia spacerował, nakłaniając ludzi do zakupu gorących pyz. Ponoć wszyscy wiedzieli, że chodzi o narkotyki. Ale Dziad był nie do ruszenia. Niejaką Czekolindę, która agencję towarzyską Rasputin w Wilanowie przejęła prawdopodobnie po Dolores, przed policją zdradziły laczki wyszywane złotymi cekinami, które odbijały światło latarń, gdy schowana w krzakach uciekała przed stróżami prawa. Luksus ma swoją cenę. Na padające w programie „Kobiety i mafia” Ewy Ornackiej pytanie o to, jak wygląda milion dolarów, żona Słowika, Monika B., dawniej zwana Słowikową, odpowiada: „Ciekawie. Kochałam się kiedyś na milionie dolarów”.

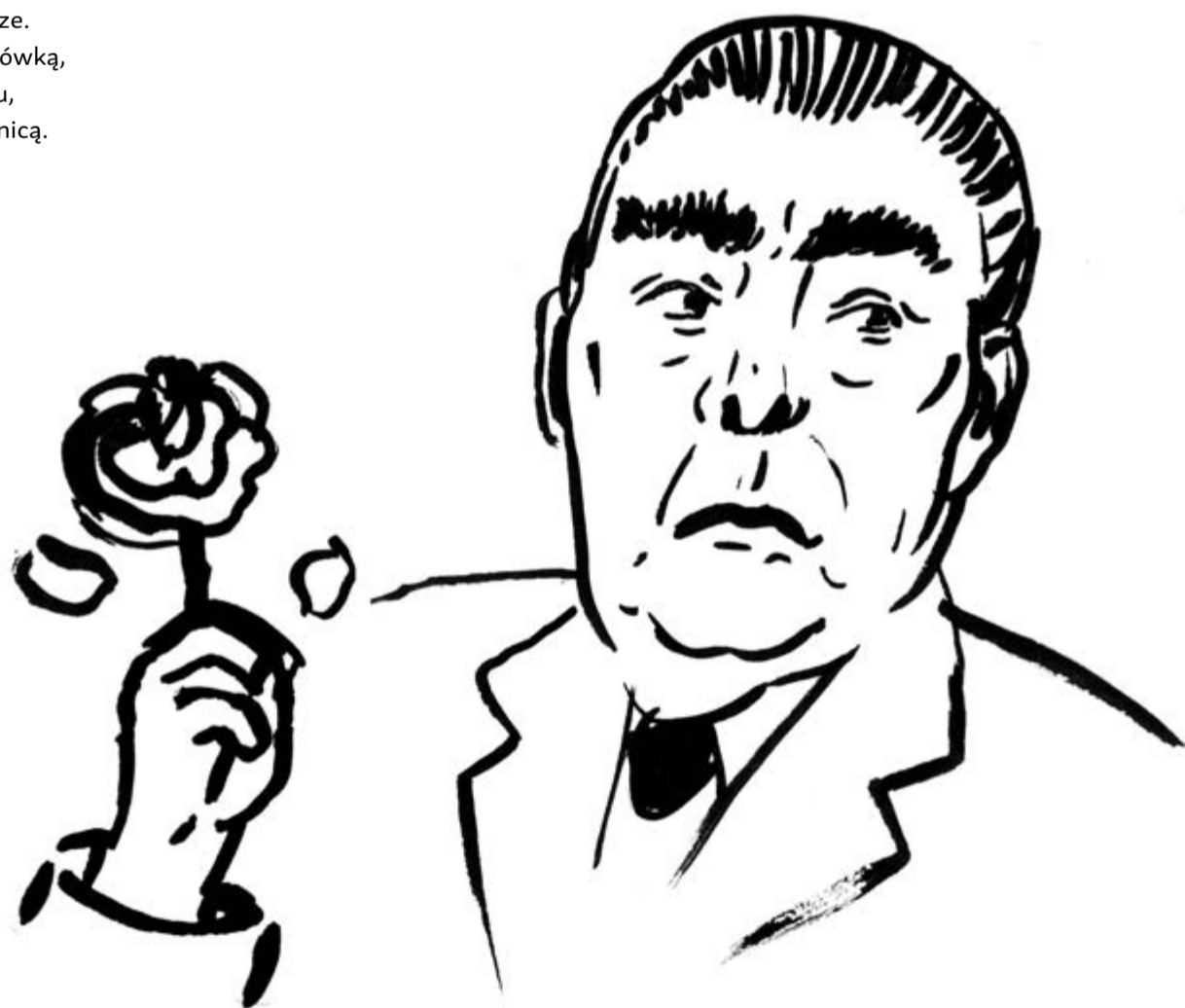
Dzisiaj część polskich mafiosów lat 90. już nie żyje. Kiełbasa został zastrzelony pod sklepem mięsny, Pershing – na nartach. Inni albo poszli siedzieć, albo „poszli w koronę” – lub jak Masa – poszli siedzieć i „poszli w koronę”. Wciąż dbają o dobre znajomości. Internet twierdzi, że Masa deklaruje Zbigniewowi Ziobrze podziw i uznanie, a prezesowi PiS, Jarosławowi Kaczyńskiemu, zaproponował usługi ochroniarzkie. Część dostała niesławny status tzw. sześćdziesiątki. Pozostali, jak Słowik, cieszą się nowym życiem rodzinnym albo, jak była Słowikowa, założyli salon medycyny estetycznej. Wielu z nich pisze książki i udziela wywiadów-rzek. Są celebrytami.

Wyobraźnia romantyczna

Tadeusz Pióro

Kiedyś każdy wiedział, że telewizja kłamie, za Platonem mówiono, że nie po to się czyta Homera, by poznać prawdę, tylko zasnąć beztrąsko w ramionach kochanki żywej lub zmartwychwstałej oraz jej kochanków płci obojga i bez namysłu wptynąć w jądro ciemności. Coś z tego zostaje, irytuje jak grudki spermy zaschniętej w brwiach, każe obciąć paznokcie przed śniadaniem, przeszkadza w dziennych sprawach jak Black Sabbath w określeniu wyobraźni romantycznej z podaniem przykładów z epoki. Mają nam to za złe osoby obdarzone wyobraźnią romantyczną bo marzy się im zasłużona drzemka bez śladu, przelot dzikich gęsi wysoko, wysoko, kruchy liść między wierszami, które czytasz w drodze na stanowisko pracy, myśląc, że telewizja po to jest, żeby kłamać, jaką frajdę sprawiłaby Platonowi...

Winnica nazywa się Ilios, leży nad rzeką Columbia i nie ma bezpośredniego połączenia z Vancouver. W jej katalogu niektóre słowa wbito na widelce, czy rysunki widelców, i są to słowa-klucze. Do Vancouver najłatwiej dostać się taksówką, z przesiadką na samolot już w powietrzu, jakieś pół godziny przed kanadyjską granicą.



Rząd dusz

Magdalena Tulli



Przy wszystkich komplikacjach i różnicach, są na świecie dwa rodzaje władzy. Taka, która nie ma ambicji sprawować rządu dusz, i taka, która tego chce. Ta pierwsza musi być gotowa do odejścia. Jeśli podlegała rzetelnej kontroli społecznej, zwykle nie ma wiele na sumieniu. W normalnych warunkach nie musi obawiać się procesów ani więzień.

Ta druga ma swoje powody, żeby rządzić do końca świata. Powody mogą być różne, jak różne bywają odmiany nadużyć. W praktyce rząd dusz służy temu, żeby skolonizować jak najwięcej i jak najdłużej niczego nie oddać.

Rząd dusz to kontrola sumień. Tak jakoś jest, że władza aspirująca do rządu dusz opanowuje sumienia, postępując się łagodnym przymusem. A na co władzy nasze sumienia, po co jej ten ciężar? Władza, nawet ta, która nie zamierza odejść, nie postawi policjanta przy każdym obywatelu. Rząd dusz stwarza możliwość podporządkowania sobie największej części społeczeństwa najmniejszym kosztem. Wolność sumienia deklaruje konstytucja, toteż idea rządu dusz jest antykonstytucyjną uzurpacją. Przy tym sumienie, o którym mowa w konstytucji, nie jest tym samym sumieniem, które chce przejść władza. Zanim bowiem je przejmie, musi dokonać w nim ulepszeń. Sumienia niezorganizowane na nic się władzy nie przydadzą, musi zaprowadzić w nich własny porządek. Mają działać wszystkie tak samo, a nie każde po swojemu, mają być przewidywalne, jak wojsko maszerujące na paradzie, jak chorągwie topocące na tym samym wietrze.

Jak to osiągnąć? Dobrze się sprawdza lekki szantaż moralny stawiający na przywiązanie do zbiorowej pamięci zastarzałych udręsk. Ludziom trudno się zdobyć na jawne kwestionowanie tradycji, w której ich wychowano, zwłaszcza jeśli nie czuliby oparcia w innych. Budowanie hierarchii postaci i wartości leży w naszej naturze. A myśli i emocje, jeśli nie weźmie się ich w karby, grożą nieustającym wrzieniem. Władza, która nie myśli oddać władzy, dorzuci tylko parę odważników tu albo tam, żeby akcenty stanęły we właściwych miejscach. Hierarchie stanowią o tym, kto kogo ma prawo oceniać i kto od kogo może czegoś wymagać albo oczekiwać. To bardzo proste. Na przykład: wszyscy słuchamy księży, a księża słuchają biskupów. Porządek tego rodzaju to pierwszy warunek zdobycia rządu dusz. Drugi warunek to jasność kryteriów. Musi być wiadomo, gdzie zło, gdzie dobro. Nie może być przyzwolenia, by każdy sobie na własną rękę interpretował boskie dyrektywy. Trzeci warunek to istnienie sankcji i kiedy chodzi o porządek sumień, powinny to być kary społeczne, czyli takie, które społeczność gotowa jest sama wymierzyć – na przykład różne stopnie wykluczenia. Jak to działa, nie widać od frontu, ale widać od zplecza. Tam bowiem ujawnia się hierarchiczna natura ludzkich zbiorowości. Każe oprzeć się na rozumie mądrzejszych od nas, na ustalonym porządku słuchania jednych przez drugich, nie odwrotnie. Ten porządek (nie musi być absolutny, lecz wystarczająco silny – na przykład: jako zbiorowość nie poważamy lewicy, zawsze nazywanej „lewactwem”, neologizm przypominający „robactwo”) określa, którego rozumu mają słuchać nasze rozумы i które prawdy są wobec naszych prawd nadrzędne.

W naszym przypadku sposobem na uporządkowanie sumień i ustawienie ich w stosownym porządku okazało się zainstalowanie

zastępczej Świętej Trójcy w samym centrum zbiorowych wyobrażeń. Bóg stoi w niej na pierwszym miejscu. Odrzucenie Boga, jeśli w Niego wierzymy, byłoby czymś szalonym. Odmowa posłuszeństwa boskim prawom – aktem niewyobrażalnej pychy i autodestrukcyjnym szaleństwem. Wyborem zła przeciwko dobru i jednocześnie wyborem pośledniejszej potęgi przeciwko tej najwyższej. Skazaniem samego siebie na bezgraniczną samotność. Póki posłuszeństwo wobec Boga jest dla nas oczywistością, maleńka cząstka tego największego autorytetu spływa i na nas. To, co stoi blisko Boga, jest święte. Im bliżej, tym świętsze. Bóg, dopuściwszy Honor i Ojczyznę do bezpośredniego sąsiedztwa z własną świętością – do owej zastępczej Świętej Trójcy – rozciągnął nasz obowiązek czci i posłuszeństwa na tę parę.

Czy Bóg może stać się dla kogoś narzędziem w wątpliwej sprawie? Pytanie wydaje się oburzające, a odpowiedź oczywista. Ani narzędziem, ani w wątpliwej sprawie. To z definicji niemożliwe. Przecież jak wszystko na tym świecie, także Honor i Ojczyzna podporządkowane są Bogu. A jeśli nie? Jeśli to Bóg jest w tej zastępczej trójcy podporządkowany Honorowi i Ojczyźnie? Jeśli Honor i Ojczyzna przechwyciły i wykorzystują dla swoich celów świętość Boga? Gromadząc dodatkowo wszelkie środki przydatne do obrony doczesnej zbiorowej miłości własnej, czyli czci narodu, tak jak ją rozumieją rozумы wobec naszych rozumów nadrzędne? I wszystko to ma służyć egzekwowaniu porządku ziemskich wartości?

Takie jak wyżej samowolne mędrkowanie jest właśnie tym, co musi podlegać karom społecznym. Póki jesteśmy zapatrzeni w zastępczą Świętą Trójcę, z największym trudem przychodzi nam odróżnić Honor i Ojczyznę od Boga i tak powinno być. A jeśli odróżnimy podejrzanie dobrze, oczekujemy ziemskiej podejrzliwości i owych wspomnianych już kar społecznych. Stąd właśnie, z ciężaru tych kar wiszących nad nami, hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna” bierze swą moc i oddaje ją władzy. Ta zaś, odsądzając tych albo tamtych od owych świętych pojęć, strąca ich w otchłań.

Zatem: Bóg, Honor i Ojczyzna tylko razem, jak na przedwojennej oficerskiej szabli. Honor i Ojczyzna obok Boga, w jednym z nim szeregu. Lecz zwłaszcza nierozzerwalnie związany jest Honor z Ojczyzną. Honor żąda (teraz to czysty rytuał), byśmy przed niczym się nie cofnęli w obronie Ojczyzny, nawet przed wysłaniem dzieci i młodzieży na daremną śmierć, i to Ojczyzna swą świętością uświęci każde (choć teraz czysto rytualne) szaleństwo Honoru. Egzekutywą tych dwóch największych ziemskich wartości, Honoru i Ojczyzny, jest naród. Lub raczej ten, kto w jego imieniu sprawuje władzę. To do niego musi się odwołać władza, która zamierza pozostać u władzy. Nie do społeczeństwa. Taka władza wie, że społeczeństwo by jej nie wysłuchało. Ale ono już dawno nie istnieje.

Honor i Ojczyzna? To mają być dwie największe ziemskie wartości? A nie miłosierdzie, pokój, sprawiedliwość, szacunek? Nie, na pewno nie. Z punktu widzenia władzy, która zamierza pozostać u władzy, nie miałyby to żadnego sensu. Z jej punktu widzenia dobrze jest, by nasza wyobraźnia ogarniała tylko „w prawo” – „w lewo”, „czarne” – „białe” i żeby nigdy nie dotknęła złożoności świata.

Nabrataś mnie

Mariusz Grzebalski

Kapelusz, dżinsy z dodatkiem stretchu
i kamasze, na czasie, niezbyt zdarte,
które widziałem od tyłu.

Nie spojrzałem na wózek –
zwykle takim wozi się puszki,
makulaturę, drobny złom.

Teraz to zrozumiałem.

Wtedy zajęła mnie troska,
z jaką patrzyłeś na to,
co widziałeś w środku.

Mijając cię, zobaczyłem ortalion
uformowany w kształt niemowlaka –
delikatnie gładziłeś nieistniejącą głowę.



Ostatnia taca

Witold Mrozek

„...tacy ubywało. I to był problem, proszę ja ciebie, bo nie tylko dlatego ubywało, że ludzie coraz mniej dawali, no bo że się wkurzali, że się kościół miesza do polityki, tam że biskup listy o aborcji każe co drugi tydzień czytać, na co mi się żalił. No. Czasem, przy piwku drugim czy trzecim, już nie był taki wielki ojciec, po cywilnemu”.

Ten grubszy musiał snuć swoją opowieść już od dłuższej chwili, bo w kufkach niewiele zostało, a obaj, chyba walcząc z hałasem, mocno się ku sobie nachylali. Siedzieli stolik obok. Opowiadacz łączył w łąkę, tak że czułem jego ruchy, bokiem, krótko ścięty i wypełniający masywną sylwetą czarną koszulę. Chudszy, blondyn, siedział za blatem, z twarzą w moją stronę. Potakiwał, jego głos zjadało karaoke, Budka Suflera, „Takie tango” – pięknie. Marek, ostatni z moich pozostałych w tym mieście kolegów, wciąż nie przychodził. Lokal, pomyślałem, ma walory etnograficzne. Zapomniałem, że tutaj w świąteczne wieczory mało co jest otwarte.

„Tacy ubywało też dlatego, że on tam trochę, proszę ja ciebie, jej podpierdał. Najpierw dwie dyszki na fajki, potem pięć dyszek na bilet do domu, do mamy, jak mu gwardian¹ nie dał za karę, potem co tydzień jakaś stówka z tacy wychodziła, czasem dwie. Niedziela w niedzielę”.

Robiło się tu coraz ciekawiej. Chudszy znów rzucił jakieś parę słów, które utonęły w zachrypniętym śpiewie, „zgodnych ciał i chętnych serc”, napierającym z piwnicznych głośników i nie zawsze trafiającym w tonację.

„No i z tego, co mówił, proszę ja ciebie, to była taka jego cicha wojna, rozumiesz, z klasztorem. Bo oni, rozumiesz, jak tylko coś podskoczyło, to wchodził na kasę. Wyrzutów sumienia to mówił, że nie ma, bo swoje robi, jak trzeba. No ale, rozumiesz, chuj wie, jak to z nimi tam było. Z walenia konia, powiedział kiedyś po pijaku, to się nie spowiada”.

Chudszy wyraźnie się ożywił. Ubrany w koszulkę Pomarańczowa Trasa Kultu 2004, miał długie związane w kucyk włosy, lekki zarost i okulary. Mógł być koło trzydziestki, miał blizny po trądziku. Znowu nic nie usłyszałem.

„Wcześniej to miał katechezę. Mówił, rozumiesz, że to jest u nich tak, że najstarszy pies idzie do budy. Że, no wiesz, najstarsze ogniwo na placówce. Jeden, co w hilfka² uczył, to żeby jakoś tych byków w ławkach zatrzymać, zaciekawić, to starszym ministrantom kazał mówić, że z misji przyjechali, z Afryki. I jak to tam jest, we wioskach z murzynami. No i coś tam pierdolili, coś tam wyczytali z netu czy skądś. Taki żart. Ale działało i wysiłać się nie musieli. Dla czarnego, rozumiesz, dla zwykłego księdza, katecheza to jest jakiś tam zawsze stały dochód. A oni, że zakonnicy, to i tak wszystko do wspólnego worka. Że u nich tego pilnuje gwardian i ekonom³ i daje każdemu według potrzeb, rozumiesz, jak w komunie, ale że, rozumiesz, jak w komunie – jakie te potrzeby, to już tak naprawdę wie władza”.

Przywitali się z jakimś przechodzącym tysym. Jak się okazało, zmierzającym na scenkę, by dość nieudolnie zaśpiewać „Kryzysową narzeczoną”. Jakies dziewczyny przy barze pisnęły radośnie.

„Władza duchowna, opowiadał mu podobno jeden taki z seminarium, trzyma ci najsamprzód rękę na fiucie i na portfelu” – kontynuował barowy znawca kościoła z lekką nadwagą.

– A na macicy? – zapytałem w myślach. Pomysł, żeby w ten świąteczny wieczór włączyć się do konwersacji sąsiadów z prowokacyjnymi lewackimi żartami, wydał mi się kuszący, ale jednak nie, nie był to jeszcze ten etap imprezy. Zamówiłem drugie piwo. Żadna wiadomość nie przychodziła, Marek chyba utknął. Siedziatem dalej.

„Jak on tam chciał z nami np. raz zrobić koncert, taki niepobożny, jakiś jazz, a proboszczowi i gwardianowi się nie podobało, to mu kieszonkowe zawiesili na dwa miesiące. Tak, serio, to się u nich nazywało kieszonkowe, dla dorosłego faceta. Potem on brał na lewo intencje, oni tak podobno robią, odprawić ileś mszy po cichu i kopertę przytulić. No a z tym futem... No wiadomo, rozumiesz, mówił, że tam co drugi ma babę na boku albo chłopca. No ale wiesz, to wszyscy mówią”.

Pomyślałem o imieninowym antyklerykalizmie mojej babci, co przez pół wieku ciągała partyjnego dziadka do kościoła co niedzielę – ten mścił się jedynie zawsze tymi samymi dowcipami o księżych gosposiach – ale przy uroczystościach rodzinnych, inaugurowanych obowiązkową mszą, nigdy nie omieszkała wyliczać nad sernikiem grubości farorzowych⁴ kopert. Grubszy mówił dalej.

„Tyle, że nie wszyscy się tym przejmowali i nie wszyscy dobrze żyli z tą swoją władzą, z zakonem. On się tam niby męczył, ciągle ktoś miał z nim jakiś problem. Ale, jak tak na niego patrzyłem, to się to jakoś kręciło. Może i cię jakaś gówniarzeria powyzywa od pedatów, ale cię jednak ludzie szanują. Tak zasadniczo. Ale on chyba na to za wrażliwy był, żeby się kryć. Tam miał jakichś kolegów, co wyszli do cywila. Oni na to mówili «w świecie», że byli znowu «w świecie». Z nimi miał jakiś kontakt, tymi «w świecie», nie chwalił się tym, jak to mówił, współbraciom, ale miał. Jeden na słuchawce w Erze siedział po dziesięć godzin dziennie, drugi w haemie sprzedawał, magister teologii. Prawie wszyscy do Warszawy wyjechali, Krakowa ewentualnie, że duże miasto, że nikt nie zna. Jeden został u nas i był nauczycielem, to wszyscy mówili, że dziwny jakiś. Jeden z tamtych był tu raz, przyszedł do niego, z Warszawy tu przyjechał. Akurat też u niego siedziatem, piwko piliśmy. Niby żartowali, tamten z Warszawy obiecywał, że mu załatwi robotę w jakimś sklepie w Żółtych Tarasach. A on się śmieje, ale: nie, nie, co ty. Młodszy byłem, może się przy mnie wstydził. Teraz myślę, że on to chciał pójść już wtedy. I tak zbierał tę kasę z tacy i się zbierał do wyjścia. No się bał, bo co matce powie, bo ona w kurii tam u nich pracowała. Wiadomo, Drohiczyn, od nas daleko. Ale i tak będą gadać, zadupie. Ojciec jakiś tam radny od Marka Jurka...”

– No, kurwa, pięknie – wyrwało mi się półgłosem nad trzecim kuflem. Nie usłyszeli, na szczęście. Marek już chyba nie przyjdzie, pomyślałem.

„Że gejem jest, to im nie powiedział nigdy chyba. Zresztą, mi powiedział też bez sensu, bo dopiero po wszystkim, jak już jasne wszystko

1 Gwardian – w niektórych zakonach przełożony klasztoru.

2 Hilfka – po śląsku szkoła specjalna, czasem potocznie o szkołach kojarzonych z niższym poziomem nauczania.

3 Ekonom – w klasztorze zakonnik odpowiedzialny za finanse.

4 Farorz – po śląsku „proboszcz”.



było. Pół litra na stół postawił, wypił szota, powietrza nabrał, «Wiesz, jestem gejem», tak dramatycznie. A ja «Wiem». No i tyle, no i śmiech był, ale taki trochę bez sensu, jakby się przedstawić komuś, z kim się znasz ileś lat. No wiesz, «Cześć, Daniel jestem». Albo jakby ktoś był tysy i nagle ci mówi: «Wiesz, wybacz mi, że tyle trzymałem to w tajemnicy, ale jestem tysy». Zarechotali bez przekonania.

– Poeta, no ja pierdolę – skomentowałem już tylko w swojej głowie i dopiłem trzeci kufel.

„Coś było, że go tu chłopaki lubili, na browara z nim chodzić chcieli, ale i na zakupy po spodnie czy koszule, a niektóre laski to się w nim kochały. Ten film, pamiętasz, z Chyrą? Co parę lat temu był, że ksiądz gej i takiego młodego chłopaka poznawał, na wiosze, z poprawczaka, z długimi włosami? I tam skandal był, i potem tak z dupy na koniec ten chłopak też szedł na księdza”.

– Ale że oglądają Szumowską...? – zdziwiłem się. Przypomniałem sobie seans z Kamilą w Kinotece i żarty z Mai Ostaszewskiej, grającej uwięzioną na wsi rozbudzoną seksualnie małomiasteczkową dewotkę, której zaloty ksiądz Chyra odrzucał w imię Boże, choć raczej w intencji Mateusza Kościuszkiewicza. Żartom z Ostaszewskiej nie było końca.

„No i ci chłopcy, pamiętasz, tak patrzą na tego Chyrę. Jak biega z tymi białymi słuchawkami od ajfona chyba po tym zadupiu, tam po tym lesie, i go pytają, jak to jest, że on ma wszystko oryginalki. Spodnie, buty, takie tam. I oni patrzą, że to jest taki superfacet, taki się mówi obyty, i wie dużo. I ja myślę, że tutaj też na niego tak patrzyli. Oni, znaczy ci z podwórka”.

Spojrzałem na telefon. Nic. Rodzina Marka chyba w ten wieczór wygrała. Po co ja tu przyjechałem?

„Ale z robotą, tą swoją, to chyba też dawał dupy. No wiesz, *ora et labora* to tam nie było. Się męczył, marudził, że ma iść spowiadać na pół godziny, mszę odprawić. Rozumiesz, taki dół miał chyba. Ludzie nadgodziny robią, a ten... No, wtedy myślałem, że leń. Ze spowiadaniem to też była jazda. Kiedyś do niego taki z Włoch przyjechał kolega ksiądz, no Polak, ale we Włoszech studiował. No i mówił, że tam tabletki kobietom rozgrzeszają, znaczy, że w konfesjonale o antykoncepcji się mówi i że spoko. I się mocno dziwił temu, jak ten z Włoch już wyszedł, że jakieś lobby tam musi być, że kasa na to idzie. Bo ich uczyli przecież, że szkodzą tabletki kobietom. Jego matka też tak mówiła, ona te nauki przedmałżeńskie prowadzi. Pięćdziesiąt siedem lat miała, jak na studia

poszła. To się nazywa «nauki o rodzinie». On o tej matce i matce. Starat się nie urazić, jak przyjeżdżała, to picia nie było, tylko wino do obiadu jakieś, habit zakładał. Dwie siostry miał – to im ślubu udzielał, dzieci chrzczył. Rodzina duża”.

Karaoke się skończyło, nagle od baru rąbnęto jakąś średniawą technią. U sąsiadów weszły szoty, niewielka tacka z parą oszronionych kieliszków. Nie będę sam pił wódki, pomyślałem. Ale wychodzić też nie wychodziłem, nie chciałem wracać do rodziny, przed telewizor, do niezręcznych rozmów. Przypomniało mi się wesele z Kamilą, sprzed dwóch czy trzech lat, upiłem się, żeby jakoś znieść rodzinę prowincjonalnych notabli i księdza każącego o rozmnażaniu i wspólnym docieraniu się kamyków w rzece. No po prostu Smarzewski. „To ty też jesteś, kurwa, z palestry?” – zapytałem wtedy świadka pana młodego, wziętego powiatowego prokuratora. Nie zauważył chyba okalających kurwę przecinków, zrobił się trochę kwas. To chyba był początek końca. Na koniec konwersacji sąsiadów się nie zanosiło.

„No się jeszcze spowiadałem wtedy. Po maturze zaraz. Ale że jakieś ruchanie to nie, to wolałem nie, u niego znaczy się zwłaszcza”.

– Kiedy ja się ostatnio spowiadałem? – zapytałem się sam dla siebie niespodziewanie, cofając się o przeszło dekadę. Przypomniały mi się wszystkie eufemizmy, w które obierałem w tych sakramentalnych ablucjach masturbację. „Dopuszczałem się nieskromnych myśli...”. Pomyślałem o dziesiątkach pokoleń, które zmagaly się z tym na kolanach przed konfesjonatem. Nie możemy być zdrowi, pomyślałem.

„Dosyć miał. Tam potem mówili, że było już, kurwa, za dużo, jak się ten jego koleś powiesił. To znaczy wiesz, bo nie powiesił. Dziecko zawołało, żona odcięła. To u nich na gospodarstwie gdzieś tam było, nie tu. Tak gadali. Nie wiem, co wiedziała ta żona, czy że ksiądz, czy że co”.

Ściszył głos albo muzyka mocniej tupnęła, albo głowa zaczęła mnie boleć od smrodu z palarni za cienkim przepierzeniem.

„I się tak łamał i łamał. No ale jednak wyszedł, no”.

Muzyka nagle się urwała. Zrobiło się cicho i nieprzyjemnie jasno. Ta z baru podeszła, że panowie wychodzimy. Wyszedłem na niepewny, kleiście brejowaty śnieg. Tamci gdzieś zniknęli, razem z jedyną w zasięgu wzroku taksówką, czekającą na świątecznych rozbitków. Wyciągnąłem telefon. Wyobraziłem sobie mężczyznę, który po trzynastu latach – tak chyba do mnie doleciało – bycia miejscowym Andrzejem Chyrą wychodzi „w świat”. Sygnał niespiesznie, przeciągle pulsował. Nikt nie odbierał.

Dwie litery

Justyna Bargielska

Jak miała trzy lata,
przyśniło jej się, że obca pani dała jej króliczka.
Szukała go potem pod łóżkiem, częściowo tylko
dając się przekonać, że to był sen. Była mądrą dziewczynką,
ale z drugiej strony naprawdę go pragnęła,
zwłaszcza, że już go miała, był jej dany, był jej.

Potem szukała go pod innymi łózkami, swoimi, obcymi,
także w hotelach, pewna, że to kwestia czasu.
Trochę to trwało. Któregoś dnia zrozumiała,
czym dokładnie jest kwestia czasu
i przestała spać w łózkach. Najpierw rozkładała na podłodze
biały obrus, a potem w ogóle przestała spać.

Taka wielka świeca, a mieszczą się na niej tylko dwie litery.
Wróciłam do łóżka, zaskocz mnie, króliczku.

Warunki wstępne (czas i pieniądz)

Andrzej Sosnowski

W ubiegłym wieku znakomicie rozwinęły się sztuki dogłębnie uczasowione, często polegające na bezpośredniości swoich tu i teraz, rejestrowane przez nośniki pamięci lub bezpowrotnie przepadające bez takiego zapisu (jeżeli ma go nie być, o brak nośników trzeba się dziś mocno postarać), który to zapis pozwala w jakimkolwiek innym czasie widzieć, słyszeć, komentować, że coś ciekawego zachodzi w 4 minucie i 33 sekundzie; albo kiedy przybijają drugą dłoń artysty do dachu volkswagena; albo gdy na ziemię lecą kartki z fragmentami przemówienia Mishimy; albo kiedy bohater leży w brzydkim świetle, kątem oka spoglądając na resztki imperium. Oczywiście wszystko to za każdym razem było już „dawno temu i nieprawda”, ale tak właśnie wygląda paradoks zapisu i pozoru trwania. A więc w zeszłym stuleciu znakomicie sobie radziły sztuki na wskroś uczasowione: nowa muzyka i balet, nowatorskie teatry, eksperymenty z filmem, pantomima, performans; nowoczesny taniec można by arbitralnie wskazać jako lejtmotyw tej historii, powołując się na pionierski i nieco szalony charakter pierwszego wykonania „Le Sacre du printemps” i powtarzając, że jest to „najbardziej ulotna, najbardziej znikliwa ze sztuk” (Cunningham). *Cris, tambour, danse, danse, danse*: wszystkie inne ruchome i żywe obrazy i sama muzyka też przenośnie wykonują swoje figury taneczne i znikają; tylko literatura tańczy jak niedźwiedź i nie chce zanikać, co świadczy o jej postępującym przedawnieniu.

Wytrwale aspirujący do perfekcji i coraz bardziej wszechobejmujący zapis tradycyjnie archiwizuje i umożliwia wspomnianie i bierne zapamiętanie, ale ta górująca nad nim, gwałtowna moc zamierania, zanikania, unicestwiania – to sprawa czasu, który wszystko rodzi i zaraz swoje potomstwo pożera (Hegel). Niby to samo niezmiennie robi tak samo, lecz historyczne natężenie „gwałtowności” nie jest stałe – w ubiegłym stuleciu dramatycznie rośnie. Załóżmy na chwilę, że miniony wiek został chytrze opętany przez czas, tak że coraz powszechniejsze, a zarazem coraz bardziej zużyte i wytłumione, wskutek wysokiej częstotliwości i mocy seryjnie serwowanych impulsów doraźnych, stało się w odbiorze światła i jego wytwarzaniu chwytnie, ponętne, naprędce odnawialne wrażenie – efekt pospiesznie przepadających obecności: jak gdyby „wszystko” działo się w coraz szybszym nurcie czasu, z którego powierzchni można zaczerpnąć po drodze trochę piany, płynąc jak Pomponik i Piórko w łupinie orzecha w stronę wodospadu lub staczając się po zboczu nicości, wesóło czy przeraźliwie pokrzykując (Ducasse). O, prędko zanik aktorów i autorów zdarzeń na każdej scenie i każdym ekranie. O, przyspieszony czas rozpadu znajomych twarzy, sylwetek i cieni. Wiek płynął bez steru, z wiatrem, który wieje w najgłębszych regionach śmierci (Kafka), jeżeli czas wiecznie sam wprawia się w ruch, sam się wytwarza i sobą rozkoszuje; być może tym bardziej rozkoszuje się sobą, im więcej „rodzi” oraz im szybciej „pożera”. Byłaby to fikcja, gdyby podmiotem tego, co się dzieje, nie był sam czas, czego jednak, zgodnie z założeniem, na razie nie będziemy wykluczać.

Nie powinniśmy tego wykluczać, gdyż w stanie opętania przez czas (nie ma „krytycznego” odstępu między opętaniem a opętaniem:



How can we know the dancer from the dance?) wszelka staranniejsza kształtowana, czuła i sumienna świadomość treści niedawno minionego czy teraźniejszego czasu przestaje występować. Coraz szybciej zostaje się z niczym i w każdej historii z czasem niezmiennie o to chodziło; czas tym prawdziwiej się urzeczywistnia, im jaskrawiej nic nie może się ostać – im prędzej ulatniają się pozory trwałości, ulegając stale przyspieszanemu przedawnieniu. Ulegając przedawnieniu, całość tego czy tamtego natychmiast przestaje być „wiążąca” – „nic nie jest prawdziwe” (Nietzsche) – co jest też od razu bez istotnego znaczenia; właśnie ów brak znaczenia ma ściśle wiążące „znaczenie”, inspirując frenetyczne uczestnictwo w zawsze nowym czasie coraz prędzej aktualizujących się, aktualizowanych i znikających wytworów: jakiegokolwiek trwalsze znaczenie zakłócałoby przebieg każdej takiej frenezji. Czas wieki całe cierpliwie pozował w draperiach dzieł, świątyń, zwieńczeń, odkryć, powieści, obelisków, kamieni milowych, pomników, aż wreszcie wszystkie te niewiarygodnie ciężkie szaty zrzucił, przestał pozować i zaczął działać na własny rachunek. Jako automatyczny pilot i podmiot posiada dwa aspekty, dwie strony: jedna to znany, nieuchwytny, potocznie upływający czas typu *Eheu fugaces, Postume, Postume/labuntur anni*, a druga to jego ciągle słabo znana, lecz zawsze już niemal uchwytna ideoplastyczna wszechobecność, widmowa postać jego ekwiwalentnego bliźniaka, upiornego sobowtóra, zmysłowo nadmysłowego reprezentanta, pełnomocnika i rzecznika – to, rzecz jasna, pieniądz, jeszcze szybszy i chytrzejszy niż rozum i czas.

piosenka emigranta

Agnieszka Wolny-Hamkało

Żyliśmy w dziwnej epoce: milenium rozjątrzyło nas tylko na chwilę. Żadna nowa idea nie była warta więcej niż dotyk skóry zimnej jak krem. Lubiliśmy przegrywać i byliśmy w tym najlepsi. Wieczorem miasto dudniło przez mgłę w kolorze starych przezroczy. Moje palce wyglądały jak tik taki o smaku pomarańczowym.

Z ryb uchodziło powietrze i baliśmy się, że zostanie z nich zmięty celofan. Niektóre przylgnęły do sufitu jak małże, w niepokojących grupach, jakby się do czegoś zleciały. Rzekę chcieliśmy budzić, a pociągiem jeździło widmo minionej nocy, w słuchawkach miało fragmenty oper, odgrywało końcówki scen. Życie odklejało się ode mnie jak cień

i biegło w przeciwnym kierunku, a twoje oczy stawały się puste i mądre jak oczy kota. Mój boże, mówiłam, mogłabym mieć trzy ciała: jedno z nich pochowałabym w Ratyzbonie, drugie nadawałoby ci inny charakter, trzecie machałoby zawsze z otwartego okna i nie chciałabym kwiatów, tylko pieniądze i miód. A było tylko tyle: powietrze z klimatyzacji,

wykładczy o zapachu przedszkola w hotelach przemysłowych jak rzeźnie. Podziemne siłownie, w których Europa pracowicie spalała swój tłuszcz. Świetlne liściki w smartfonach – wklepywane na tyłach knajp, wyświetlane w metrze. Centra miast, nachalny zapach żeberek i pudru. Z podwórka widać pokojówki: palą w oknach, ich włosy są ciężkie jak hantle.

Miasto jest kostką masła w żaroodpornym garnku. Flanela, jęk przyciśniętej deski. (– Ktoś może nas zobaczyć. – No to co). Czuty albo zmęczony albo zaplątany w koce. Chce porozmawiać z miejsca, w które wpadł, tj. z klombu rudych róż, które kradnie nocami tu, pod biblioteką, gdzie słońce spiera plamy w rzece, tracąc jednocześnie tyle pięknych rzeczy.

Nieśmiertel- ność i władza, studium przypadku

Bartosz Sadulski

Despota może wszystko, bo kto mu zabroni, jednak kanony potęgi i obsesji, z którymi muszą się mierzyć satrapowie świata, ustalił Qin Shi Huang, zwany niepozornie Pierwszym Cesarzem. Życie to nie „Miliard w rozumie”, ale wypadłoby go znać przynajmniej z trzech powodów: zjednoczył Chiny, rozpoczął budowę Wielkiego Muru, a jego grobowca strzeże do dziś Terakotowa Armia. Żołnierze tej armii, podobnie jak żołnierze większości armii na świecie, są całkiem straszni, bo nie mają serduszka i są puści w środku. Ale o tym potężny Cesarz Qin, o którym dziejopisowie konfucjańscy mówili, że był bękartem handlarza, czyli najbardziej podłego z zawodów, już nie musiał wiedzieć.

Chiński Herodot, czyli Sima Qian, w swoich monumentalnych „Zapiskach historyka”, gdzie opisy strategicznych rzezi przeplatają się z doniesieniami na temat gradu i komet, napisał, że ojcem Pierwszego Cesarza był późniejszy król Czuang-siang, który gdy „przebywał w królestwie Czaa jako zakładnik wysłany tam przez królestwo Ts'in, ujrzał pewnego razu nadoznicę Lu Pu-weia. Spodobała mu się i wziął ją za żonę. Ona to właśnie urodziła Pierwszego Cesarza”. Zaczyna się jak frywolna bajka, ale sielanka trwa krótko: kiedy Shi Huang miał trzynaście lat, ojciec odwalił kite, a młody, chociaż jeszcze przez dziewięć lat będzie chodził z gołą głową, co symbolizowało niepełnoletniość, przejął władzę w państwie Qin. Przez lata na zmianę podbija, walczy i z niepokojem patrzy za okno: niebo grzmi, ziemia porusza się, głód panuje, ponad dwie stopy śniegu spadają, ale nie przeszkadza mu to w podbiciu wszystkich chińskich ziem. Było to w 221 r. p.n.e. Na jaw wyszła wtedy skromność chińskiego władcy, cecha rzadka u ludzi tego formatu, na propozycję, aby nazywał się Wielki Dostojny, odpowiedział bowiem: „Odrzucam wyraz «wielki», lecz zatrzymuję tytuł «dostojny», a ponadto dodaję do niego nazwę starożytnego władcy. Moim tytułem będzie więc: Dostojny Władca”. A mógł zabić! Niedługo później wydał edykt, który zniósł prawo o nadawaniu cesarzom tytułów pośmiertnych. Sam siebie nazwał Pierwszym Cesarzem, a ci, którzy będą rządzić po nim, przybiorą sobie kolejne numerki, „aż do tysiąca i dziesięciu tysięcy pokoleń”. Ujednolicił kalendarz, bo każda prowincja miała własny, i miary, za ich podstawę biorąc szóstkę: „tabliczki umów, nakrycia głów urzędników miały mieć odtąd po sześć cali, wozy miały mieć sześć stóp szerokości. Sześć stóp miało też składać się na jeden krok, a w zaprzęgu miało być zawsze sześć koni”. Qin Shi Huang od pierwszego dnia ruszył ostro z kopyta, nie brakowało mu przy tym finezji, wyrachowania i zapobiegliwości, które fascynują do dziś, a przy których działalność dwudziestowiecznych tyranów wydaje się równie spektakularna, co bitwa na śnieżki.

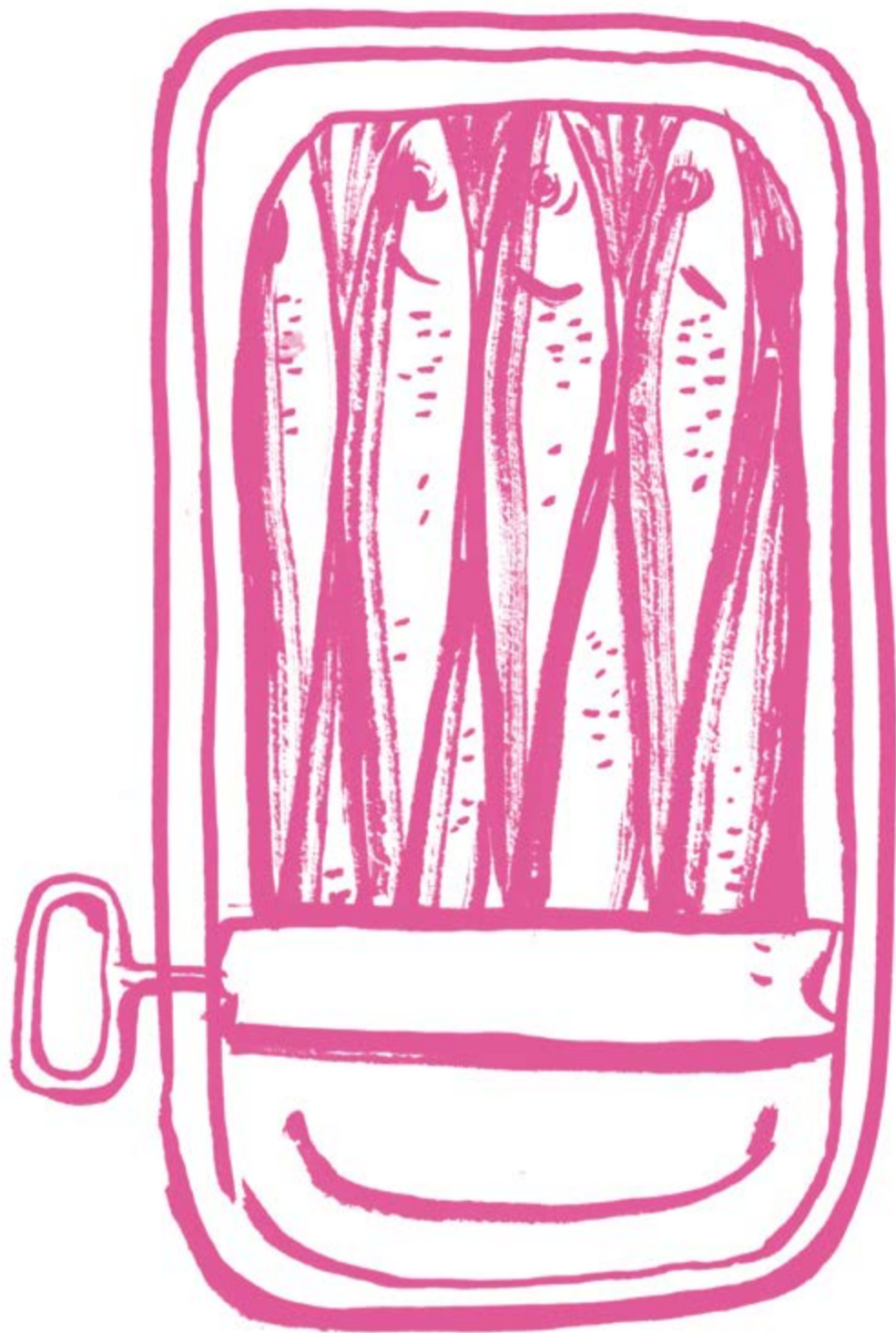
Tym, co przeraża być może najbardziej, nie jest fakt, że mieszkańcy podbitych terytoriów zniewalał i kastrował, ale stworzenie pierwszego na świecie prawdziwie scentralizowanego imperium biurokratycznego. Być może bez niego nie mielibyśmy Kafki, ale imperium wielkości całego Cesarstwa Rzymskiego wymagało też specjalnych środków. Skoro więc Shi Huang zawładnął przestrzenią, należało pochylić się nad czasem. Kolejne ruchy Cesarza to epicki taniec śmierci jego

psychotycznej megalomanii i paranoi. Kroki tego tańca dwa tysiące lat później odtwarzał towarzysz Mao, znany pływak i poeta, który zamiast myć zęby, pił zieloną herbatę i na starość miał niekompletne, zielone uzębienie. W 1958 roku, w przemówieniu do partyjnych kadr, powiedział: „[Pierwszy Cesarz] Zakopał żywcem 460 uczonych. My zakopaliśmy 46 tysięcy. Wy, intelektualiści, lżycie nas za bycie jak Qin Shi Huang. Nie macie racji. Przewyższyliśmy go stukrotnie”.

Dziejopisowie konfucjańscy mieli swoje powody, żeby Pierwszego Cesarza przedstawiać w jak najgorszym świetle: jako klasyczny paranoik uważał, że uczeni knują za jego plecami; nie chciał też, by jego panowanie było oceniane przez pryzmat przeszłości i zasad konfucjańskich, więc zakopał ludzi nauki i nakazał spalenie ksiąg, pozostawiając jedynie te o roślinach i ogrodnictwie. Niszczycielska skala działalności chińskiego władcy fascynowała między innymi Borgesa, który w tekście „Mur i książki” przeczuwał, że te wydarzenia to „coś więcej niż przesada czy hiperbola banalnych poleceń”. Aby zrozumieć to ekscentryczne splątanie władzy i przemocy, należy wspomnieć o obsesyjnym poszukiwaniu eliksiru nieśmiertelności przez Pierwszego, w co zainwestował olbrzymie zasoby finansowe i ludzkie: na swoim dworze utrzymywał czarnoksiężników, biegłych w astronomii astrologicznej, alchemii i komponowaniu mikstur leczniczych. Być może cała imperialna machina biurokratyczna, z tysiącami kilometrów dróg włącznie, została stworzona nie dla „ludu czarnogłowego”, lecz dla nedorzeczej fanaberii cesarza, który w trzydziestym drugim roku panowania wysłał Han Czunga, księcia Hou, i mistrza Szyna na poszukiwanie nieśmiertelnych oraz leku zapobiegającego śmierci, zaś już rok później, w 213 r. p.n.e., wydał „nieprawych sędziów do budowy Długiego Muru”. Przypadek? Bynajmniej. Za paranoją podąża świadomość upływającego czasu: o ile mur miał chronić przed najeźdźcą zewnętrznym i znaczyć granicę, o tyle najniebezpieczniejszy wróg czai się blisko. Zdaniem Borgesa cesarz zamurował imperium, gdyż wiedział, że jest równie nietrwałe, co jego ciało, a „księgi zniszczył, bo rozumiał, że są one święte, czyli uczą tego, czego uczy cały wszechświat albo sumienie każdego człowieka. Być może palenie bibliotek i budowa muru to czyny, które w tajemniczy sposób się znoszą”.

Rękopisy płoną, a między budową imperium a pragnieniem nieśmiertelności zachodzi jeszcze bliższy związek. Tekst odczytany ze znalezionych w 2002 roku w mieście Liye zwojów z listewkami pozwolił stwierdzić, że cesarski dekret nakazujący wszystkim poddanym kontynuowanie poszukiwania „eliksiru życia” trafił do najbardziej odległych zakątków cesarstwa. Nie udało się jednak znaleźć ani leku, ani nieśmiertelnych, przystąpiono więc do projektu architektoniczno-magicznego. Gdy jeden z doradców podpowiedział cesarzowi, by poddani nie znali miejsca jego przebywania, pałace połączono ukrytymi i ogrodzonymi drogami, a jeden z nich wyposażono w 365 pokoi, by władca mógł codziennie w innym chować się przed śmiercią. Zdaniem Borgesa cesarz i jego magowie sądzili, że śmiertelność jest rzeczą podstawową i że rozkład nie ma wstępu do świata, który jest zamknięty. Nie pomylili się.





Z przytoczonej przez Sima Qiana rozmowy odsuniętych od podejmowania decyzji i spiskujących przeciwko Pierwszemu mistrzów Hou i Lu wiemy, że stał się on „gwałtowny, okrutny i despotyczny”. Sam decydował o wszystkich sprawach cesarstwa, a jego pracowitość stała się legendarna: nie kończył dnia, nim nie podpisał sześćdziesięciu kilogramów dokumentów. Rozmowę swoją Hou i Lu spointowali stanowczo: „Ponieważ zaś taka jest w nim żądza władzy, nie należy poszukiwać dla niego leku na nieśmiertelność”. I uciekli. Obsesja Qin Shi Huanga na punkcie własnego życia i śmierci była tak silna, że gdy dowiedział się, iż na przydrożnym kamieniu ktoś – raczej w prorockim napadzie niż dla żartu – napisał „Gdy umrze Pierwszy Cesarz, podzielona będzie jego ziemia”, wkurwił się nie na żarty. Wystął urzędników do zbadania sprawy, a gdy jej nie wyjaśniono, kazał zatrzymać wszystkich, którzy mieszkali w pobliżu miejsca, gdzie stał kamień, i ich stracił.

Co jednak najciekawsze, a często pomijane w tekstach o obsesji nieśmiertelności Pierwszego, od początku swojego panowania „kazał drążyć górę Li, a kiedy zjednoczył już cały świat, zestano tam do robót łącznie ponad siedemset tysięcy robotników. Wydrążono górę aż do poziomu wody, zalano szczeliny brązem i umieszczono tam sarkofag”. W tym sarkofagu sam się położył w wieku lat zaledwie czterdziestu dziewięciu, odwalwszy kitę w trakcie jednej z licznych podróży. Jak dowiodły późniejsze badania, Cesarzowi aplikowano takie ilości uważanej wówczas za leczniczą rtęci, że przed śmiercią musiał być najdokładniejszym termometrem w Chinach. W obawie przed buntem książąt, śmierć Shi Huanga długo utrzymywano w tajemnicy i wożono go po kraju w wozie służącym do odpoczynku, razem z ulubionym eunuchem, stwarzając tym samym pozory cesarskiej nieśmiertelności, gdyż „wszędzie, dokąd przybył orszak, przynoszono jedzenie dla cesarza, a urzędnicy przedstawiali mu – jak dawniej – swe sprawy. Siedzący w wozie eunuch odpowiadał, wyrażając dla spraw tych aprobatę cesarską”. Gdy orszak dotarł do Dziewięciu Źródeł, wskutek upału z wozu zaczął unosić się odór. Rozkazano więc, by urzędnicy jadący w orszaku wieźli na każdym wozie solone ryby.

Jednemu ze znienawidzonych papieży po śmierci połamano nogi, bo nie chciał zmieścić się w trumnie, ciało Mussoliniego zbezczeszczone, a potężnego Pierwszego Cesarza wieziono z rybami. Być może właśnie tak zyskuje się nieśmiertelność.

Na tym oczywiście nie koniec. Shi Huang nie został pochowany samotnie, w towarzystwie żołnierzy pustych jak wielkanocne króliczki z czekolady. Ktoś mądry stwierdził, że nie godzi się, by puścić wolno te z kobiet cesarza, które nie miały dzieci, więc pochowano je razem z nim. Nie godziło się też wypuścić siedmiuset tysięcy robotników znających skarby i bogactwa kurhanu, więc gdy zakończono ceremonię pogrzebową i zamknięto od strony grobu główną drogę podziemną, zaparto także zewnętrzną bramę, więżąc wszystkich robotników i rzemieślników, którzy pracowali przy grobie. I nikomu wyjść się stamtąd nie udało.

Cesarz śnił, że stworzył nieśmiertelną dynastię. Jej panowanie zakończyło się na Trzecim.



Szach-mat

Magda Piekarska

Mówią, że to przez tę bałkańską krew. Że to ona trzyma mnie w szachu. Jeśli tak, to dostałam właśnie szach-mat. Leżę na dywanie, twarzą do podłogi, ból rozsadza mi czaszkę. I bardziej czuję, niż widzę, bo oka nie mogę otworzyć, że vanish będzie w użyciu. Ktoś, dla kogo „idzie jak krew z nosa” znaczy tyle co „ledwie, ledwie”, powinien mnie teraz zobaczyć. Chociaż nie. Przez najbliższy miesiąc nikomu na oczy się nie pokazę. A po butki tylko do tego sklepu na dole, w ciemnych okularach. Ale właściwie to, kurwa, dlaczego? Jak tylko wstanę i znajdę telefon, strzelę sobie selfika i wstawię na feja. Niech cały świat się dowie, jak ten chuj mnie urządził.

Mówią: „Lenka, weź ty się ogarnij. Znajdź normalnego chłopaka, ładna jesteś, niegłupia”. Że to niby ja mam problem. No i może mam, ale co ja mogę poradzić, że mnie tacy nudzą? Mogłam mieć ich na pęczki, tyle że z żadnym dłużej niż miesiąc nie idzie wytrzymać. Bo ile można siedzieć i patrzeć sobie w oczy? W tydzień da się całe życie opowiedzieć, to po drugim zaczyna mnie nosić. Bo ja potrzebuję tej, no, adrenaliny w związku. Tyle że właśnie ją przedawkowałam.

Leżę na dywanie, twarzą do podłogi, kątem tego drugiego oka widzę, jak krew wsiąka w białe włosie. Miało być minimalistycznie, monochromatycznie, wyszło narodowo-patriotycznie. Przemoc, kurwa, domowa pod flagą biało-czerwoną.

Leżę i próbuję dojść, jak się tu znalazłam. Bo przecież miało być inaczej: studia pokończone, własne cztery kąty i wolność! Wybawić się do spodu, nie dać się w chałupie zamknąć jak matka. Takie miałyśmy z Haneczką życiowe credo. Że żaden facet nas nie złapie tak łatwo, w każdym razie nie tak szybko, powtarzałyśmy sobie. I szalałyśmy – każdy wieczór w knajpie, każdy weekend z innym facetem. Jak nam się który spodobał, to szłyśmy jak po swoje. A co? Że pani nauczycielka nie powinna? A kogo to obchodzi, co robię po godzinach? Że dziewczynie nie wypada? A gdzie równouprawnienie? No, nie ma co, mój feminizm właśnie sięgnął bruku.

Jak krew z nosa potrafi chlusnąć, to widziałam nieraz. Zza firanki, z balkonu. Albo to raz któryś nie mógł przeżyć, że poszedł w odstawkę, i wystawał pod moim blokiem? I widział jak kolejny wychodzi ode mnie zdrowo po północy. A potem zaczynało się kino akcji, sąsiedzi mieli niezły ubaw. Ja też. Bo bawiłam się nimi, rozgrywałam przeciwko sobie tych moich rycerzyków. I powiem wam, że jak widziałam, jak się leją pod moim oknem, czułam coś takiego, czego nie znalazłam w łóżku z żadnym. Ale dopiero jak spotkałam Milana, wypuściłam kierownicę z rąk. Powinam wiedzieć, że to się źle skończy, na dywanie, twarzą do podłogi.

Hanka też mówi, że to ta moja krew. Ale tu prawie wszędzie, jak okiem sięgnąć, mała Bośnia. Ocice, Gościszów, Zebrzydowa, aż po Tomisław. I będzie jeszcze z pół Bolesławca. Mówią o nas Jugole, chociaż korzenie mamy polskie. Zawsze byliśmy wyrzyni. Wystarczyło pół słowa za dużo i na potańcówkach po wioskach szły w ruch sztachety. Jak rodzice mieli wesele, dziadek ubzdurał sobie, że matka ojciec krzywo na niego spojrzę. I jak się zerwał, jak za siekierę złapał, to z wściekłości

drzwi wejściowe razem z futryną porąbał w drzazgi. Matki rodzina zaraz się zawinęła. A reszta jak gdyby nigdy nic wróciła do stołu.

Ojciec też ma temperament. Ale matka, Kresowiaczka, wystarczająco oleju w głowie, żeby nie iść z nim na udry. Zawsze wie, kiedy ustąpić. „Tisze budiesz, dalsze jediesz” – powtarza. Tyle że ja nigdy nie potrafiłam cicho siedzieć. To mówili: „Wdała się w ojca”.

„Ta twoja Lenka to ma kurwiki w oczach”, mówili, jak już podostałam. Milan też miał. To jak mogło nie zaiskrzyć? On Jugol, ja Jugolka. Z nim nigdy nie było nudno. Jakbym półtora roku temu wsiadła na rollercoaster. Wiatr we włosach, żołądek w gardle, adrenalina i ten strach, że zlecę.

Nie powiem, bywało słodko. Więc wrzucało się foty na Insta – Milan i Lena piją wino przy świecach, Milan i Lena w pościeli, on z różą w zębach, ona w staniku i podwiązkach. No wiem, kicz, szczyt obciachu. Ale nie mogłam się powstrzymać. Już i tak się hamowałam, żeby nie upublicznić tych wszystkich bardziej prywatnych, jak żeśmy się kotłowali w pościeli, jak mnie brał na kuchennym stole, już bez tych róż i bez tych podwiązek.

Wtedy, jak wyczułam zapach tej suki, też nie mogłam się powstrzymać. A co dopiero potem, jak znalazłam jej esemesy w telefonie. Twarz mu pazurami rozorałam, a o pazury zawsze dbałam, żeby były spitowane na ostro. A jak wyszedł, to od razu skрина wrzuciłam na profil. I zaczęła się jatka. On do mnie od razu: „Ty szmato”. Ja do niego: „Ty gnoju”. I że sukę zajebię. Posta skasowałam, bo mi się potem wstydz zrobić. I tak później w pokoju nauczycielskim dziwnie na mnie patrzyli. Pytali: „Lenka, wszystko u ciebie w porządku?”. I musiałam zmyślać, że ktoś mi się na konto włamał. Tylko Hanka nie robiła podchodów. „Lena, tobie to chyba całkiem odjechało” – powiedziała. „No i chuj, nie twoja sprawa” – odmruknęłam tylko.

Z Milanem ciche dni nigdy długo nie trwały. Wiedział, skubany, jak mnie podejść. Przychodził z kwiatami i zamykał się w kuchni. A jak czułam przez drzwi zapach krewetek smażonych na oliwie, na winie, z czosnkiem drobniutko posiekanym, z papryką, to mnie już nawet nie musiał przeproszać. Bo ja zawsze lubiłam na ostro. Ale i tak na kolanach się czołgał do mnie przez cały przedpokój. „Lena – jęczał. – Ty wiesz, że ja tylko ciebie jedyną”. To tak dla przyzwoitości trochę poudawałam urażoną i znowu była sielanka. I nie, nikt nie musi mi tłumaczyć, że seks po awanturze to nie jest lekarstwo na problemy w związku. Jasne, ale niech ktoś mi powie, kiedy lepiej smakuje!

Z tym chłopakiem z warsztatu poszłam tylko po to, żeby go doprowadzić do szatu. To nawet nie był rewanż za tamtą sukę. Ot, za miło się zrobiło, za słodko. Że przeholowałam, zrozumiałam, jak zobaczyłam jego zaciśniętą pięść zbliżającą się, jak na zwolnionym filmie, do mojej twarzy. A potem już tylko ten ból i ta krew na białym dywanie.

Mówią: „Lenka, chyba rozum ci odjęło. Idź z tym na policję, do sądu go podaj”, mówią. I tylko Hanka odpuściła. „Idiotko, ty sama nie chcesz sobie pomóc” – rzuciła tylko i trzasnęła drzwiami. Nie zdążyłam jej odpowiedzieć, że pewnie ma rację. No i chuj.

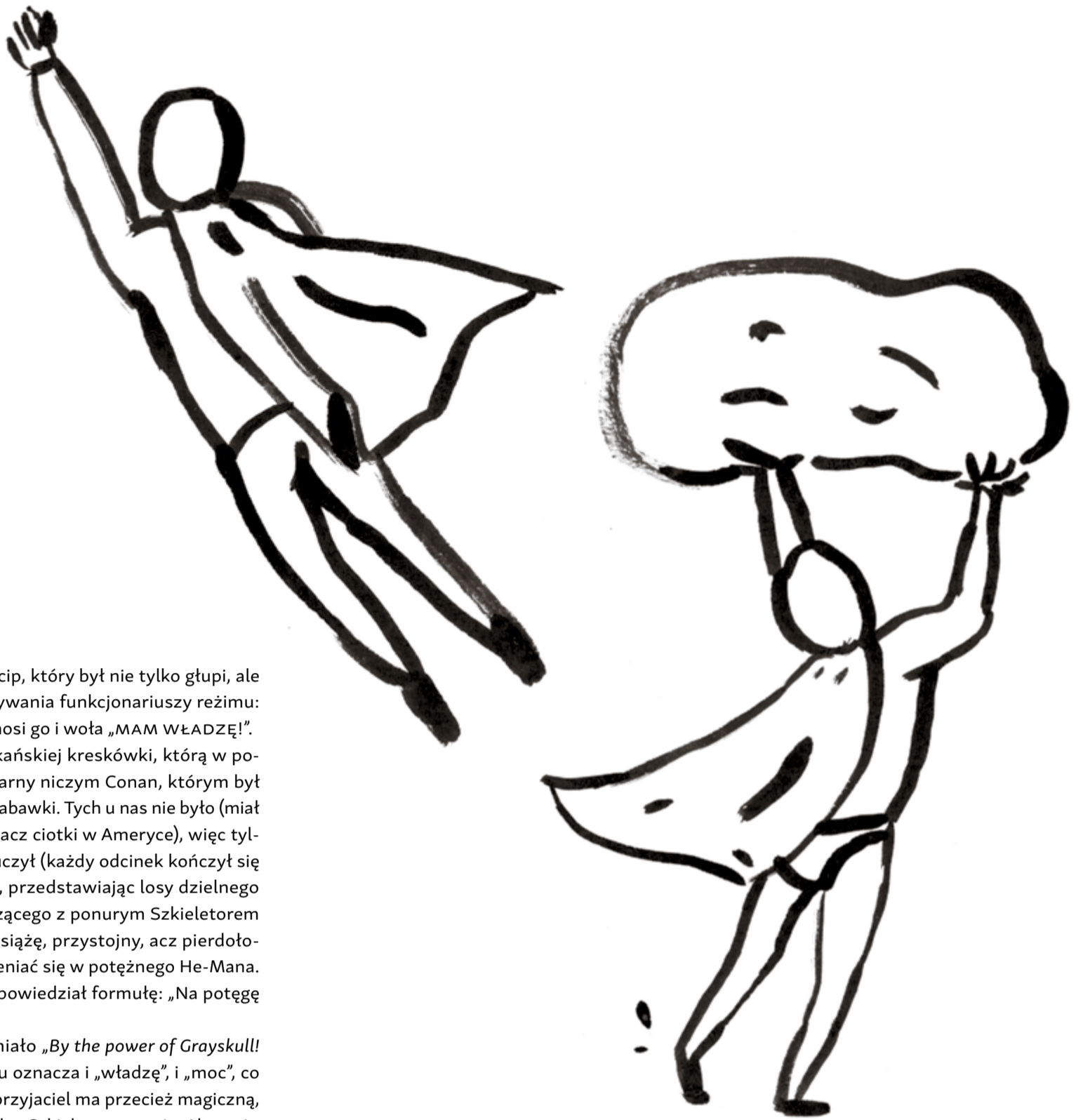
Więc leżę na dywanie, twarzą do podłogi i wymyślam srogą zemstę dla mojego Milanka. Niech no tylko wróci, skubany, myślę, niech no tylko go dorwę. Mam dla niego noże ostrzejsze niż paznokcie.





He-man spotyka pana władzę

Michał R. Wiśniewski



Z dzieciństwa zapamiętałem taki dowcip, który był nie tylko głupi, ale i niósł ze sobą posmaczek podszczypywania funkcjonariuszy reżimu: podchodzi He-Man do milicjanta, podnosi go i woła „MAM WŁADZĘ!”.

He-Man był bohaterem amerykańskiej kreskówki, którą w połowie lat 80. emitowała TVP. Muskularny niczym Conan, którym był mocno inspirowany, miał sprzedawać zabawki. Tych u nas nie było (miał je mój kolega ze szkoły, dumny posiadacz ciotki w Ameryce), więc tylko oglądaliśmy serial, który nie tylko uczył (każdy odcinek kończył się obowiązkowym morałem), ale i bawił, przedstawiając losy dzielnego księcia Adama z planety Eternia, walczącego z ponurym Szkieletorem i jego armią pokraków. I ten właśnie książę, przystojny, acz pierdołowy, miał pewien sekret – mógł zamieniać się w potężnego He-Mana. Wystarczyło, że wyciągnął miecz i wypowiedział formułę: „Na potęgę Posępnego Czerepu, mam władzę!”.

Owo zaklęcie w oryginale brzmiało „By the power of Grayskull! I have the power!”. „Power” po angielsku oznacza i „władzę”, i „moc”, co tu bardziej pasuje – nasz muskularny przyjaciel ma przecież magiczną, muskularną siłę, dzięki której może natłuc Szkieletora po ryju. Ale może w tym kulawym tłumaczeniu kryje się jakaś prawda, która siłę fizyczną utożsamia z władzą. Władzę ma ten, kto może dać pałą przez łeb. Dotyczy to zarówno milicjanta, zwanego „panem władzą” (stąd ten głupi dowcip), jak i He-Mana, który przecież był następcą tronu, członkiem kasty rządzącej i tak dalej, ale prawdziwą władzę dawały mu pięści i miecz.

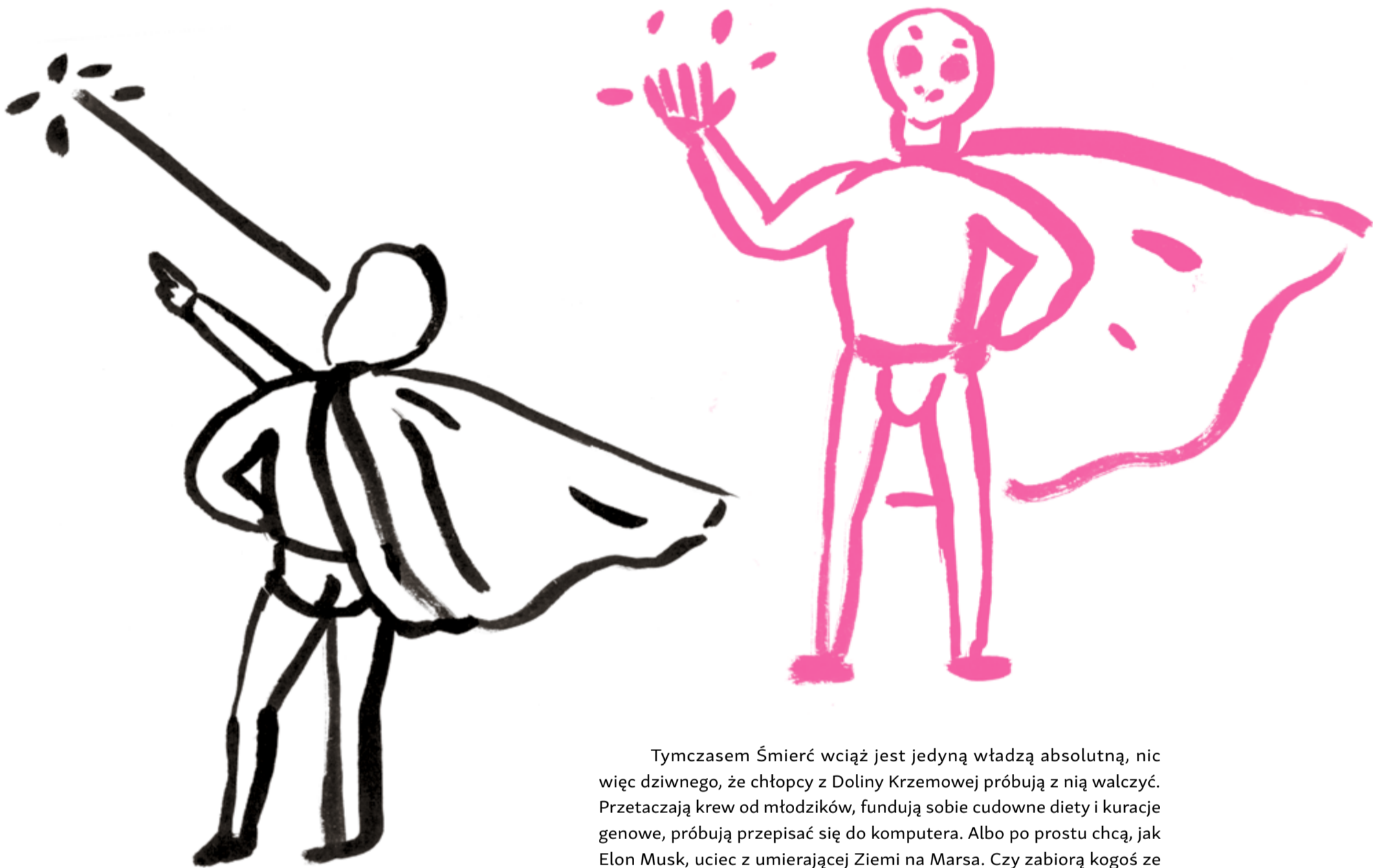
Pan Władza! To brzmi jak dobra nazwa dla superbohatera. Kolesie He-Mana (He-Man – człowiek facet) z kreskówek i komiksów też władzę czerpią z tego, że mogą przyłożyć. Co jest strasznie głupie, zwłaszcza kiedy nie mówimy o bohaterze z ludu, jak licealista gołodupiec Spiderman, tylko o takim nadzianym typie jak milioner Batman czy Ironman, którzy byli władnymi członkami establishmentu, zanim odziali się w gumowe czy metalowe gacie i ruszyli rozdawać ciosy przestępcom i terrorystom. To komiksowe utożsamienie władzy i siły fizycznej jest typowe dla eskapistycznych fantazji, które umiłowały sobie geeki i nerdy, czyli po naszymu kujony (które raczej brylowały na matematyce niż na WF-ie, często nosiły okulary czy też były chuderlawe, przez co stawały się łatwym celem klasowych łobuzów). Fantazja o byciu muskularnym mutantem lub obdarzonym fantastycznonaukową mocą herosem pozwala na kompensację codziennych upokorzeń.

Ale przecież prawdziwa władza tkwi nie w pięści, a w wiedzy właśnie. Nerdy rządzą światem, odkąd świat został opleciony komputerowymi sieciami i stał się cybernetycznym organizmem. W cyberpunkowej

fantazji cyborg, czyli połączenie maszyny i człowieka, był takim samym snem o przemocy fizycznej jak He-Man i Batman; spotkałem kiedyś takiego chłopaka, który marzył o metalowym ciele cyborga, uzbrojonym, dającym i moc, i siłę, i władzę. Dosłownie potraktował metaforę „Chłopcy z Doliny Krzemowej nie muszą wymieniać swojego mięsa na metal, żeby trzymać nas wszystkich w elektrycznym uścisku”.

Wujek Spidermana powtarzał, że z wielką mocą przychodzi wielka odpowiedzialność („With great power comes great responsibility”), Lord Acton powiedział zaś, że władza korumpuje, a absolutna władza korumpuje absolutnie („Power corrupts; absolute power corrupts absolutely”). Na świecie widać dziś więcej tego zepsucia niż odpowiedzialności. Kevin Smith w „Sprzedawcach z” dowodził zaś, że z „brakiem mocy przychodzi zerowa odpowiedzialność”, co oczywiście jest tekstem tyle zabawnym, co nieprawdziwym – typowy pracownik najemny ma zerową władzę, ale przełożeni wymagają od niego dużej odpowiedzialności, wypełniania celów i tym podobnych.

Wiedza daje władzę! Nawet najmniejsza, specjalistyczna wiedza. Pod koniec lata zapomniałem złożyć parasol na balkonie i potargały go deszcze niespokojne. Poszedłem więc do marketu budowlanego nabyć zamiennik, bo upały się przeciągały. Oczywiście NIE WIEDZIAŁEM, że już po ptakach, bo to nie sezon na parasole plażowe. Dowiedziałem się tego od pracownika działu ogród, który spojrzał na mnie z pogardą, ponieważ NIE WIEDZIAŁEM, a potem z satysfakcją objaśnił mi, że żadnego parasola nie dostanę. Nawet taka drobina wiedzy, jak znajomość sezonowego planu sprzedaży, może stać się narzędziem władzy – czułem się jak chłop na audiencji u księcia. Taką samą satysfakcją odczuwają firmowi informatycy, do których szary człowiek zwraca się z problemem. „Nie wiesz, dlaczego nie działa, robaku? Jesteś zdany na moją łaskę!”



Niektóre nerdy i geeki stają się strażnikami wiedzy, dla których komputer, komiksy i fantastyka to zabawa dla chłopców. Dziewczeta nie są mile widziane, jak można było dowiedzieć się z manifestu przeprowadzonego przez smutnego typka w wewnętrznej sieci Google (na szczęście sprawa się wydała i typek stracił pracę). Mechanizmy wykluczenia panują zarówno w branży IT, jak i w nerdowskich dziedzinach rozrywkowych. Kobiety, które interesują się grami czy superherosami, są testowane z tego, czy są PRAWDZIWYMI FANKAMI, czy NAPRAWDĘ umieją grać w gry i czy NAPRAWDĘ znają się na komiksach. Na szczęście powoli się to zmienia.

Amerykańskie komedie budowały przez lata obraz konfliktu między nerdami i sportowcami. Nerdy były prześladowane przez mięśniaków, ale w końcu dokonali zemsty, jak w filmie „Zemsta frajerów”. Tymczasem rzeczywistość skrzeczy – kiedy sportowcy (przynajmniej amerykańscy, nasi chłopcy raczej się nie wychylają) walczą o sprawiedliwość społeczną, klękając podczas hymnu, nerdy budują narzędzia masowej zagłady, takie jak Twitter, na którym prawdopodobnie zacznie się trzecia wojna światowa, kiedy pijany władzą prezydent napisze o jedno zdanie za dużo. Gdzie jest Pan Władza, czy weźmie to towarzystwo za mordę? Nie weźmie, bo od dawna dla niego pracuje. Megamilioner Bezos, władca Amazona, dostał tysiaka kary za łamanie praw pracowników w Polsce. Na pewno bardzo się przejął.

Być może tym, kogo potrzebuje ten świat, nie jest He-Man, Pan Władza ani tym bardziej Batman i Ironman (kumple Pana Amazona, z którymi umawia się na golf), tylko Fantomas. Ten niebieski łysol w jednym z filmów przedstawił genialny plan opodatkowania największych światowych bogaczy podatkiem od prawa do życia. Niestety został pokonany przez Pana Władzę.

Tymczasem Śmierć wciąż jest jedyną władzą absolutną, nic więc dziwnego, że chłopcy z Doliny Krzemowej próbują z nią walczyć. Przetaczają krew od młodzików, fundują sobie cudowne diety i kuracje genowe, próbują przepisać się do komputera. Albo po prostu chcą, jak Elon Musk, uciec z umierającej Ziemi na Marsa. Czy zabiorą kogoś ze sobą? Kiedy Ziemia zacznie płonąć (a zacznie), władzę będzie miał ten, kto będzie miał statki kosmiczne.

Na spacerach mijam stary ponemiecki cmentarz, gdzie przy krzyżu (który jest jednocześnie pokestopem) widnieje sentencja „W życiu i w śmierci należymy do Pana”. Jako ateista nie mam żadnego pana, a kiedy odejdę, zostawię po sobie trochę słów. Może po jakimś czasie one również umrą, a może będą żyły wiecznie, krążąc po świecie, skacząc z umysłu do umysłu. Czy dzięki słowom mam władzę? Czy uda mi się nimi choć trochę zmienić świat? Nie wiem, ale na wszelki wypadek staram się ich używać odpowiedzialnie.

Pestki władzy

Andrzej Józwiak

Wśród wielu odruchów i zachowań są takie, które należy doskonalić, aż nabiorą odpowiedniej formy i staną się umiejętnościami. Do takich umiejętności należy zdolność dziwienia się. Idąc dalej, powinnością wobec władzy jest wyłapywanie z niej iluzji, paradoksów i fałszu. Rzecz nie tylko w podejrzliwości względem ukrytych intencji i celów, ale też w przyjęciu perspektywy, która najsamprzód pozwala ze zdziwieniem szerzej otworzyć oczy. Trzeba być czujnym i się w czujności ćwiczyć. Jest w tym coś z uważności, z jaką kręcimy pokrętłem analogowego radia, poszukując właściwej częstotliwości. Czasem udaje się od razu trafić w ten punkt na skali. Zaskoczenie przechodzi w pewność, że za uzurpacją władzy nie kryje się onnipotentna siła, że przejrzeliliśmy władzę na wylot.

Wyobraźnia podpowiada mi pewien scenariusz. Otóż w przełomowym dla kraju momencie, po serii skomplikowanych zabiegów i politycznych operacji, premier dopina swego – mobilizuje stronników wokół programu radykalnych zmian ustrojowych. Utwierdziwszy się w poczuciu posiadania sprawczych mocy, szykuje się do ogłoszenia swoich planów na forum parlamentu. Czas to wyjątkowy, opozycja jest w rozsypce. Nim jednak premier stanie za mównicą, kroki kieruje do toalety. Zamyka się w kabinie na chwilę, lecz proces defekacji zaktóca napad lęku. Skąd wziąć papier? Polityk przetłumuje paraliżujące zażenowanie i prosi ochroniarza o pomoc. Ale i tak przedłużająca się nieobecność premiera skutecznie dezorientuje szeregi jego stronników. Zamieszanie wykorzystuje opozycja, przeforsowując wniosek o przerwaniu obrad. Sprawstwo wymyka się premierowi z rąk w sposób, o którym milczeć będą podręczniki historii.

To fikcja, ale po prawdzie każdy mąż stanu, despota, jest bezbronny wobec biologii i materii, które są dostatecznie niezależne wobec racjonalizujących zabiegów i mogą płać dowolne figle.

U kresu zbrodniczego żywota Adolf Hitler – wycieńczony bezsennością, napadami depresji i furii – stał się dla współpracowników prawdziwie nieobliczalny. Ów stan kojarzył się z histerią, która dopadła go w 1918 roku na wieść o klęsce Niemiec. Dotknięty tymczasową ślepotą, wygłaszał w szpitalu płomienne antysemickie tyrady. Nie umknęło to uwadze szpitalnego lekarza, dr Karla Kronera. To po jego zapiski sięgnięto podczas procesu norymberskiego. Tym razem skrajne stany Hitlera były potęgowane miksturami, które serwował mu Theo Morell, osobisty lekarz. Wiele osób z otoczenia kanclerza III Rzeszy uważało medyka za szarlatana. Hitler miał jednak do niego słabość. Bezwolny był również Herman Goering, któremu Morell dostarczał ulubionych narkotyków.

W kręgach nazistowskiej władzy roilo się od dziwolągów i psychopatów. Ich moc sprawcza, skutkująca niewyobrażalną tragedią milionów ludzi, brała się nie tyle ze zdolności do czynienia rzeczy dla rozumu

niemożliwych, lecz z bezgranicznego konformizmu mas. Należy więc nieustannie się dziwić temu, w jaki sposób masy podporządkowują się tyranii, zachowując spokój sumienia i nie nazywając rzeczy po imieniu. Tyrania kocha milczące przyzwolenie i udawaną aprobatę.

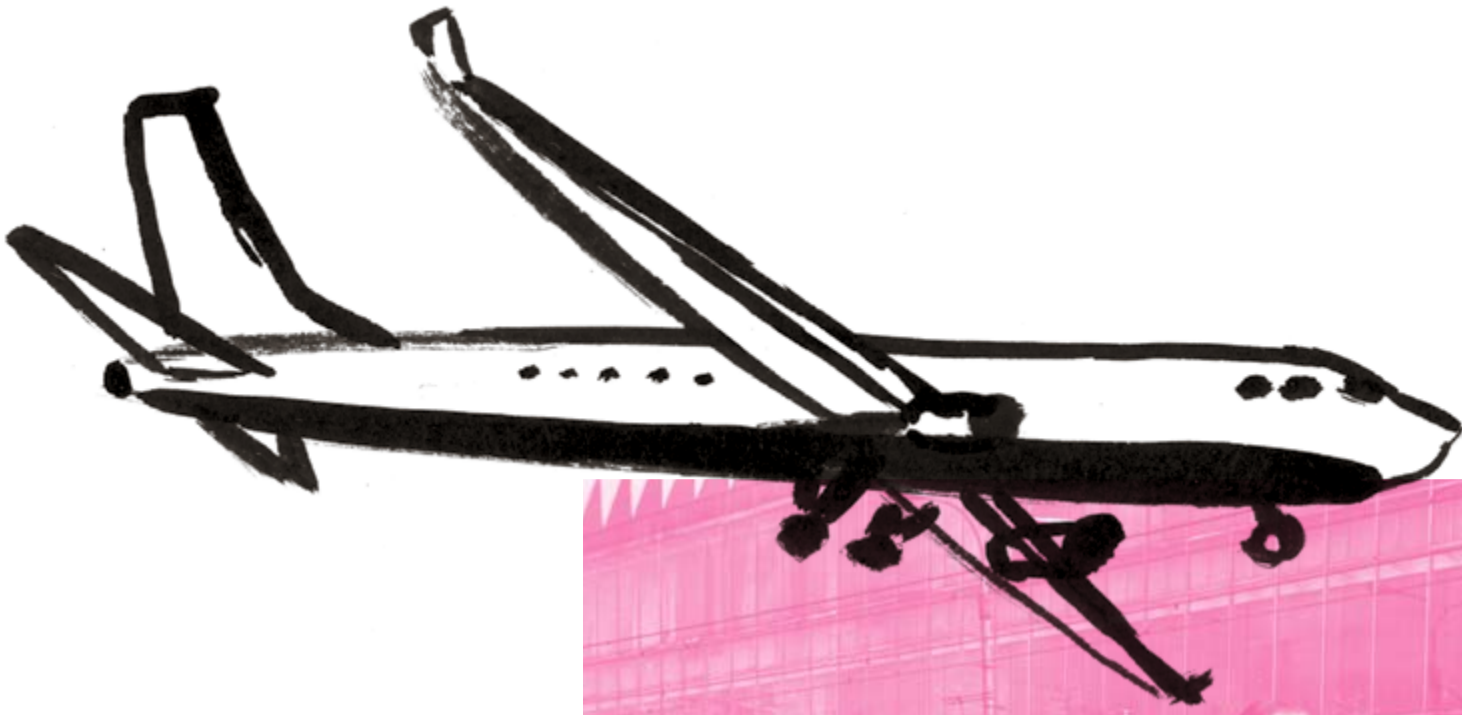
Na marginesie. Jest coś frapującego w alternatywnym scenariuszu, w którym Hitler, za namową dr Kronera, spotyka się z Zygmuntem Freudem. Wyobraźmy sobie, że w efekcie słynny badacz nie ucieka z Niemiec. Nie musi walczyć o wolność i pisać poddańczych pism z adnotacją: „gorąco wszystkim polecam usługi Gestapo”. Natomiast Adolf Hitler, zaliczywszy serię seansów psychoanalitycznych, zwraca się ku malowaniu abstrakcji, zakłada rodzinę, zdaje maturę.

Pragnienie posiadania władzy nad innymi – pełniące funkcję kompensacyjną – przestaje odgrywać rolę, gdy odzyskamy władzę nad sobą.

Ten, kto ma poczucie, że sprawuje władzę, często dzierży w rękach nie berło, lecz dildo. Albo jest kostką u podstawy piramidy. Przychodzi mi na myśl motyw niemal filmowy, związany z lekturą książek prof. Zygmunta Baumana; książek traktujących o globalizacji i „płynności” wszystkiego, co nas otacza i w czym „tonimy”. Centralną figurą motywu jest finansista lecący odrzutowcem. Z drinkiem w dłoni i laptopem na stoliku, kilkoma ruchami myszki transferuje setki milionów dolarów z jednego kontynentu na drugi. W oka mgnieniu determinuje losy społeczeństw, krzyżuje plany rządów. Samolot unosi się nad stolicą państwa, którego władca, zaaferowany właśnie dobieraniem garnituru na doroczną paradę z okazji święta armii, nigdy nie będzie miał porównywalnego wpływu na globalny bieg rzeczy. Parada zwykła gromadzić setki tysięcy ludzi euforycznie reagujących na widok czołgów i władcy.

Najbardziej boję się władzy skrytej, która w niejawnym sposobie czyni z nas swoich poddanych. Jeśli władza nie wiąże się z żadną umową społeczną – a wszak jest niejawną – nie można tej umowy negocjować. Jesteśmy bezradni. O mackach takiej władzy można głównie milczeć, bo jej sprawstwo jest nieprzejrzyste dla oka, a konsekwencje ubezwłasnowolnienia trudne do oszacowania. Mam na myśli zależność od technologii, której wyrazem jest czułość, z jaką traktujemy telefon komórkowy. Nie rozstajemy się z nim nigdy. Telefon jest przedłużeniem nas samych, jest i smyczą, która nas dokądś ciągnie. Sens tej relacji nie zamyka się w użyteczności przedmiotu. Kim w ogóle jesteśmy dla technologii, która buduje skomplikowany system podtrzymywania życia i gwarantowania nam komfortu?

W „Procesie” Kafki struktura władzy jest nieprzejrzysta i manifestuje się poprzez biurokratyczną precyzję. A konsekwencja, z jaką działa, pozbawiona jest uzasadnienia. Jedną z powieściowych postaci, Titorelli, oceniając sytuację głównego bohatera, mówi, że „wszystko należy do sądu”, a Józef K. z przerażeniem stwierdza, że każdy z sądem ma coś wspólnego. To o nas. My podporządkowujemy się – dziś i najpewniej także w przyszłości – niejawnym władzy algorytmów, które zdejmują z nas odpowiedzialność i trud dokonywania różnych wyborów. Zakres tej algorytmicznej ofensywy ciągle się poszerza. Pozostaje nam nie ustawać w podejrzliwości.



Alicja w Białym Domu

Adriana Prodeus

Długo nie mogłam zrozumieć, o co chodzi Minionkom. Że szukają sobie władcy i to takiego, co by był najokropniejszy i najsroższy. Wydawało się niewiarygodne, że można chodzić z takim pragnieniem, skoro wszyscy jesteście wolnościowcami, demokratyczni, liberalni. A jednak bajka odniosła sukces. Dlaczego?

Analizy władzy, a w szczególności portrety osób ją sprawujących, zawsze były domeną kina amerykańskiego, zwłaszcza w okresie tzw. Nowego Hollywood, gdy autorzy tacy jak Coppola, Polański czy Alan Pakula kręcili „Rozmowę” (1974), „Chinatown” (1974) i „Wszystkich ludzi prezydenta” (1976). Roztrząsali w nich konspiracyjne wątki polityki służącej głównie interesom najbogatszych oraz organizacjom przestępczym. Odpowiadali na paranoję, a także poczucie absurdu, jakie rodzi się przy bliższej obserwacji procesów zachodzących w polityce, gdy wciąż mamy poczucie, że to, co przedostaje się do mediów, nie ma dużo wspólnego z rzeczywistym sednem władzy. W latach 70. reżyserzy w centrum filmowej opowieści stawiali najczęściej postaci, które przejrzały system albo choć przeczuwają, jak naprawdę działa. Zaś filmy – oba z 1979 roku – które obejrzymy w ramach tegorocznego przeglądu adaptacji MFO, pociągnęły ten koncept jeszcze dalej. Pokazują, jak my-obywatele naszych polityków stwarzamy.

Fantazja o tym, że tak bardzo potrzebujemy jakiegoś przywódcy, że myślimy, że ten, a nie inny świetnie nadaje się do objęcia władzy, to temat „Wystarczy być” Jerzego Kosińskiego i wspaniałej adaptacji Hala Ashby’ego z Peterem Sellersem w roli głównej. Oto niedorozwinięty mężczyzna, który genialnie naśladując polityków widzianych w telewizji, zostaje wzięty za jednego z nich. Opierając się konieczności podjęcia decyzji i nie mając jakiegokolwiek wiedzy na żaden temat, człowiek ten stwarza wrażenie głębi, bo zdaje się mówić metaforami. Pusta forma staje się zwierciadłem. Pokazuje, czego pragniemy od naszych liderów. I jak niebywale prostej choreografii potrzebuje władza, abyśmy poczuli do niej nostalgię.

Przypominający tancerza, mima, kukłę o nadprzyrodzonych zdolnościach bohater zwany Chance/Los czy Chancey Gardiner/Ross O’Grodnick ma do zaoferowania bardzo niewiele, jeśli nie nic, ale to wystarczy, żeby uwierzyć, że jest wszechmocny. Ten zabawny, przerażający człowiek bez właściwości poprowadzi nas po zapleczu amerykańskiej polityki do zupełnie innego niż u Kosińskiego zakończenia.

„Wystarczy być” jest dziełem zapomnianego reżysera epoki, w której o swoje miejsce w Hollywood walczyli Martin Scorsese, Robert Altman i Steven Spielberg. Choć film odniósł duży sukces zarówno w kinach, jak i na festiwalach, zdobył też wiele nagród (m.in. Oscara dla Melvyna

Douglasa za rolę drugoplanową), to Hal Ashby nie podniósł się już z depresji, uzależnień i zmarł na raka kilka lat później. W historii kina pozostał jako autor być może najbardziej utalentowany, lecz ostatecznie niespełniony. Może dlatego że trudno jednoznacznie go z czymś skojarzyć. Styl jego filmów jest niezwykle subtelny, niemal przezroczysty, a w tym przypadku płynący miękkimi, enigmatycznymi zdjęciami Caleba Deschanela.

Drugi film, jaki w tym roku zobaczymy, oparty na bestsellerowej powieści Richarda Condon (autora „Honoru Prizzich”) w dowcipny, bezpretensjonalny sposób rozprawia się ze spiskowymi teoriami i mitologią stojącą za osobą prezydenta, który „był królem przez tysiąc dni”, czyli Johna F. Kennedy’ego. Książki, którą pisarz otwarcie nazwał inspirowaną rzeczywistymi zdarzeniami, z różnych względów nie chciano filmować (senator Ted Kennedy kandydował wówczas na prezydenta). Produkcji podjęli się inwestorzy, mający na swoim koncie jedynie obrazy erotyczne (wcześniej dorobili się na handlu marihuaną). Jeden dostał wyrok 40 lat więzienia, drugiego znaleziono zastrzelonego przez mafię we własnym mieszkaniu na parę dni przed premierą.

Mówiło się, że obraz miał być reżyserowany przez Miloša Formana; ostatecznie stanęło na debiutancie Williamie Richercie. Po premierze „Zimowe zabójstwa” porównywano do takich filmów jak „Dzień szakala” (1973) Freda Zinnemanna na podstawie powieści Fredericka Forsytha czy „Zamach na prezydenta” (1973) z Burtem Lancasterem. Bez zbytnych zachwyków. Powodów, dla których został negatywnie oceniony, jest mnóstwo i dziś można ocenić je trzeźwo.

Legenda tego filmu wyprzedza jego seans – był pierwszą produkcją w historii Nowego Hollywood, która zaraz po rozpoczęciu zdjęć zbankrutowała, potem jakimś cudem została ukończona, choć reżysera odsunięto od finalnej fazy montażu, a w kinach film pokazywano tak krótko, że okazał się kląpą finansową (odzyskano jedną szóstą budżetu). Mimo że zagrali w nim najwięksi aktorzy tamtych czasów: Jeff Bridges, John Houston, Toshiro Mifune, Eli Walach, Sterling Hayden, Dorothy Malone czy niewymieniona nawet w napisach Elizabeth Taylor, film poszedł na półkę zaraz po premierze. Dziś, oglądając „Zimowe zabójstwa” (1979) w oryginalnej reżyserskiej wersji, widzimy, jak zjadliwa to satyra władzy, zwłaszcza tej opłakiwanej wciąż w Ameryce.

Kto bardziej pragnie władzy niż zamachowiec celujący do prezydenta? Przenosimy się nie do Dallas, lecz do Filadelfii sfilmowanej przez Vilmosa Zsigmonda (przystępując do zdjęć, właśnie skończył „Łowcę jeleni” (1978), tak jakby była to sceneria zamachu z 22 listopada 1963. Oryginalny sposób montażu tych refrenowych scen, a także eklektyczny, pełen rozmachu styl całości sprawia, że naprawdę jest to zaskakujący seans, w którym kolejne sekwencje zaskakują nietuzinkową inscenizacją: a to panoramicznych pejzaży rodem z westernu, a to namalowanej scenografii rodem ze starego Hollywood.

Śledzimy Nicka (Jeff Bridges), syna bogatego przemysłowca, który przeprowadza śledztwo w sprawie swojego zamordowanego brata, który był prezydentem państwa (w retrospekcji zagrał go republikański senator John Warner), podczas gdy Nick sam wzbrania się przed polityczną karierą. Otaczają go m.in. tajemnicze kochanki, mafiozi, komputerowa kwatera główna mocarstwa, prywatny poligon, burżuazyjna sypialnia w szpitalu i gigantyczna flaga USA. Ale też kurniki pełne śnieżnobiałych lub brunatnych niosek – bo teorie spiskowe muszą mieć przecież tajne miejsca spotkań.

Kto naprawdę sprawuje władzę i jakimi narzędziami ją egzekwuje? To kluczowe pytania tej buńczucznej analizy, przeprowadzonej z przymrużeniem oka przez Williama Richerta, również aktora (którego znamy z późniejszych kreacji aktorskich w „Moim własnym Idaho” czy „Kliencie”). Reżyser zmienił wymowę książki Condon, będącej pierwotnie analizą opartego na przemoc systemy bezpieczeństwa. Richert pokazał ten świat jako czarną komedię. Niestety, była ona reklamowana przez producentów jako: „ujawnienie prawdy o zamachu na JFK”, podczas, gdy została pomyślana jako „spojrzenie na największą władzę i politykę okiem Lewisa Carrolla”. A zatem Alicja w Białym Domu. Co na to Minionki?

zaczniemy jeszcze raz

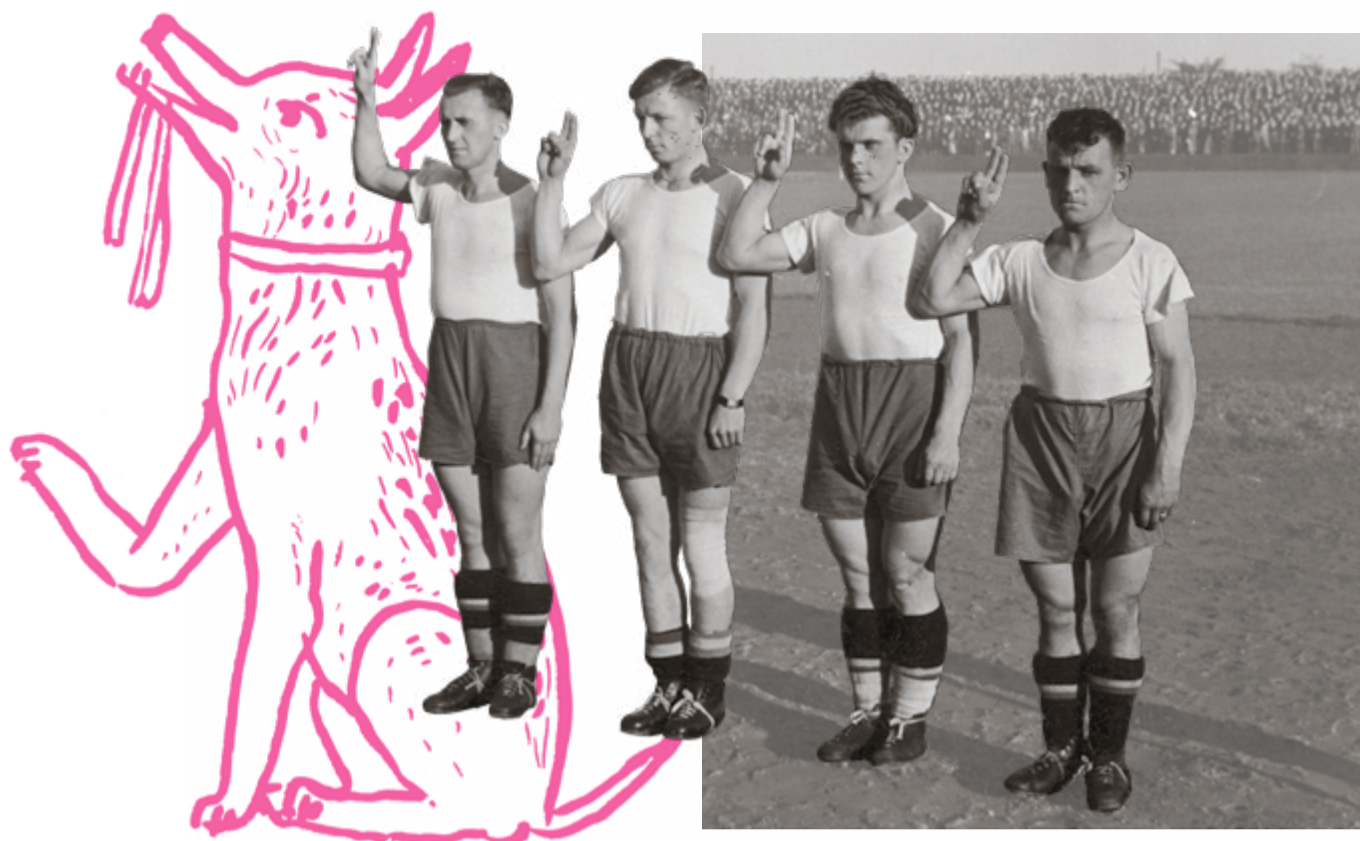
Bartosz Sadulski

po powstaniu kontynenty szybko rozstają się
na skraju pierwszego lasu mężczyzna wycina
pierwsze drzewo i rozpala ogień którym zajmuje się las
powstaje straż pożarna bogowie i pieczywo
kona ostatni mamut a słońce jeszcze przez chwilę
kręci się wokół nas ktoś zmartwychwstaje
ktoś chodzi po wodzie ludzie żyją w zgodzie
do powstania waluty aleksander wielki ginie otruty
na pierwszy bank udaje się pierwszy skok nad pierwszym miastem
zapada pierwszy mrok (znamy już wojny ale światła wciąż mało
w dalekim kraju rodzi się dziecko a newton przewraca się
na drugi bok) zachód dziczeje padają pierwsze strzały
i ostatnie imperia ostatni dług zostaje nieoddany
ostatni mężczyzna ginie poddany system śni o sobie
gdy zasklepiają się rany lee miller wychodzi z wanny
karadzić gra na guśle gdy płonie sarajewo
zalewa nas woda i zalewa nas krew poznajemy się
ale później już nie: najstarszy pies świata zdechł



14. Opowiadania

International Short
Story Festival



Program 5-12.10.2018

5.10.2018, piątek

Dolnośląskie Centrum Filmowe, ul. Piłsudskiego 64a, Wrocław

- 17:00** Prezentacje I. Czytają: Wioletta Grzegorzewska, Elias Hirschl, Łukasz Orbitowski, Aleksandra Zielińska. Wszystkie Prezentacje prowadzą Adriana Prodeus i Szymon Kloska.
- 19:00** Władza Sieci. Rozmawiają: Zofia Karaszewska, Sylwia Stano, Marcin Wilk; prowadzenie Agnieszka Wolny-Hamkało.
- 20:00** Prezentacje II. Czytają: Justyna Bargielska, Rob Doyle, Dorota Maśłowska, Pierre J. Mejlak.
- 21:30** Oleg Sencow „Testament”, adaptacja sceniczna, reż. Katarzyna Dudzic-Grabińska

6.10.2018, sobota

Muzeum Pana Tadeusza, Rynek 6

- 9:00** Warsztaty twórczego pisania z Danielem Odiją dla laureatów konkursu „ostatni bankiet prezydenta”
- 15:30** „Co pozwala powiedzieć noc” – promocja zbioru opowiadań Pierre’a J. Mejlaka (Wydawnictwo Książkowe Klimaty). Prowadzenie Małgorzata Matuszewska

Dolnośląskie Centrum Filmowe, ul. Piłsudskiego 64a

- 17:00** Prezentacje III. Czytają: Grzegorz Bogdał, Magdalena Grzebałkowska, Thomas Gunzig, Karmele Jairo.
- 19:00** Nad czym panują krytycy. Rozmawiają: Przemysław Czapliński, Zofia Król, Roman Kurkiewicz, Anna Marchewka; prowadzi Agnieszka Wolny-Hamkało.
- 20:00** Prezentacje IV. Czytają: Kevin Barry, Martyna Bunda, Daniel Odija, Inga Žolude.
- 21:30** Maciek Bielawski „Koziołek”, adaptacja sceniczna, reż. Marta Streker
- 22:15** Wręczenie nagród i wyróżnień konkursowych

7.10.2018, niedziela

Muzeum Pana Tadeusza, Rynek 6

- 9:00** Warsztaty twórczego pisania z Danielem Odiją dla laureatów konkursu „ostatni bankiet prezydenta”
- 15:30** „Ukojenie dla drzewa Adama” – promocja zbioru opowiadań Ingi Žolude (Kolegium Europy Wschodniej). Prowadzenie Magdalena Piekarska

Dolnośląskie Centrum Filmowe, ul. Piłsudskiego 64a

- Wstęp i prowadzenie Adriana Prodeus.
- 17:00** „Zimowe zabójstwa” (1979), reż. William Richert – film i dyskusja
- 20:00** „Wystarczy być” (1979), reż. Hal Ashby – film i dyskusja

12.10.2018, piątek

Muzeum Pana Tadeusza, Rynek 6

- 18:00** „Opowiadania bizardne”. Spotkanie z Olgą Tokarczuk prowadzi Marcin Hamkało

organizator

współorganizator

partnerzy

patroni medialni

Współfinansowano ze środków
Gminy Wrocław (www.wroclaw.pl)

